Vordere Hintereisspitze (3437m) – pierwszy z trzech

Czarna kropka w środku kadru to najprawdopodobniej ryś. Natomiast za nim na horyzoncie ramię, którym następnego dnia dostaniemy się na pierwszy ze szczytów – Vordere Hintereisspitze

Wspaniały kadr widoczny o poranku ze szczytu Vordere Hintereisspitze (3437). W tle wybija się ponad wszystko inne Weißkugel (3738)

Na ramieniu prowadzącym na Vordere Hintereisspitze

Widok ze szczytu Vordere Hintereisspitze w kierunku schronu (widoczny po drugiej stronie lodowca na skale z prawej strony)

Drużyna na szczycie

Idziemy z Asią na Hintere Hintereisspitze. W tle Tomek, który samotnie wróci do schronu widocznego po lewej

Vordere Hintereisspitze w całej okazałości. 2 czarne kropki na lodowcu to tym razem nie rysie, lecz Asia i Dziku wracający po zdobyciu obydwóch wierzchołków. Autorem zdjęcia jest Tomek

Podejście do schronu dnia pierwszego. Schron widoczny na skale w środku kadru.

Prolog

Alpy w listopadzie to nie przelewki, szczególnie bez nart. Jednak pogoda w 2022 roku była wyjątkowa i zakładaliśmy, że nie będziemy tonąć po szyję w śniegu. Nie ja tym razem byłem inicjatorem wyjazdu. Propozycja padła od Skadi, z którą od lat próbuję się na wyjazd zgadać, ale wiecznie coś na drodze staje. W przypadku tego wyjazdu nie było inaczej, bo ostatecznie pojechaliśmy osobno, choć w to samo miejsce. I tym razem jednak nie było nam dane się spotkać.

Dzień 1 (11.11.2022)

Rano docieramy do Vent, gdzie na parkingu stoi już auto, którym parę dni wcześniej przyjechała ekipa Skadi. Ruszamy w kierunku Hochjoch-Hospiz – schroniska położonego na wysokości 2413m. To tutaj stacjonuje drużyna z Polski, lecz niestety – kiedy przechodzimy tamtędy, to oni są właśnie na wycieczce w górach. Zatrzymujemy się tam jedynie na chwilę, gdyż naszym celem na dziś jest Brandenburger Haus (3277m), położny wysoko na skałach powyżej lodowca Gepatschferner.
Pomimo, że zgodnie z oczekiwaniami nie zapadamy się głęboko w śnieg, odczuwamy zmęczenie związane z całonocną podróżą oraz kilkugodzinnym marszem z plecakami. Liczymy kroki i torujemy na zmianę, a schronisko złośliwie się nie przybliża i niezmiennie majaczy wysoko na skale.

Dzień 2a (12.11.2022)

Ruszamy o 6 rano, a ja jestem pełen obaw, czy uda nam się na tym wyjeździe cokolwiek zdobyć. Obserwowane poprzedniego dnia ze schroniska pole szczelin na naszej drodze wprawiło mnie w zakłopotanie. A jeszcze bardziej dawało do myślenia to, że szczyty z mojej listy były położone daleko od schronu. Z czym się wiąże parokilometrowa wędrówka po lodowcu przekonaliśmy się dzień wcześniej. Ogólnie – nastąpiło u mnie zderzenie oczekiwań z rzeczywistością.

Sytuację ratuje Tomek, który proponuje udać się na najbliższy nam szczyt – Vordere Hintereisspitze. Szczyt ten nie ma „przepisowej” wybitności przekraczającej 150m, ale dochodzę do wniosku, że lepsze to niż nic. Jak się potem okazało, wejście na niego było kluczową zagrywką dla psychiki.

Schodzimy na lodowiec i kierujemy się w kierunku początku grani wystającej z rozległych pól lodowca. Bez problemu omijamy szczeliny, które tak mnie niepokoiły dnia poprzedniego. Natomiast tuż za szczeliną brzeżną mieliśmy poważny zgryz ze względu na trudności z dostaniem się na ramię prowadzące na szczyt. Stromy fragment zmusił nas nawet do użycia liny, którą opuszczałem do partnerów w celu asekuracji. Zabezpieczenie było jednak tylko pozorne, ponieważ „stanowisko” opierało się na taśmie zahaczonej o kawałek wystającej spod lodu skały. To jednak musiało wystarczyć w tym miejscu. W najgorszym wypadku bolesny upadek skończyłby się u podnóża bardzo niskiej w tym miejscu grani. Kiedy tylko pokonaliśmy to kluczowe miejsce – reszta stała się formalnością. Był to spacer po w miarę bezpiecznym, niezbyt stromym odcinku grani i w rezultacie wkrótce robiliśmy sobie zdjęcie na 1 z 3 wierzchołków grzbietu Hintereisspitze.

Po trzech godzinach od wyjścia ze schronu staliśmy z powrotem na lodowcu. Wszelkie zwątpienia mnie opuściły i dopadła mnie niezwykła wprost motywacja. W tym stanie nie mogę pozwolić sobie na odpuszczenie najbardziej wybitnego wierzchołka w tej

grani – Hintere Hintereisspitze. Jest to 25-ty szczyt Austrii, a zatem jest na liście szczytów, które zamierzam wkrótce zdobyć (33 najwyższe szczyty Austrii). Asia decyduje się iść ze mną. Tomek wraca. Szkoda.

Tomka samotny powrót przez lodowiec do schronu jest o tyle symboliczny, że to jednak ON był głównym sprawcą sukcesu, za jaki uważam cały ten wyjazd. Jak wspomniałem na początku, wyjazd został zainicjowany przez Skadi. Następnie w wyniku perturbacji terminowo-logistycznych postanowiłem pojechać w osobnej ekipie, do której dołączyli Tomek i Asia. Wyjazd zakładał start z zupełnie innego miejsca, które to ze względu na warunki mogło skazać całe przedsięwzięcie na jedną wielką klapę. Sytuację uratował Tomek, o czym wtedy jeszcze nie mieliśmy pojęcia. To on zaproponował Vent jako miejsce startu. Opracował trasy i logistykę. W kluczowym – pierwszym dniu namówił nas na rozpoczęcie dnia od szczytu, który nas wpuścił i psychicznie podbudował. Tomek – jednym słowem – wykonał wspaniałą organizacyjną robotę.

Fluchtkogel (3497 m) – antyrelacja

Czarna kropka w środku kadru to najprawdopodobniej ryś. Natomiast za nim na horyzoncie ramię, którym następnego

dnia dostaniemy się na pierwszy ze szczytów – Vordere Hintereisspitze

Wspaniały kadr widoczny o poranku ze szczytu Vordere Hintereisspitze (3437). W tle wybija się ponad wszystko inne Weißkugel (3738)

Na ramieniu prowadzącym na Vordere Hintereisspitze

Widok ze szczytu Vordere Hintereisspitze w kierunku schronu (widoczny po drugiej stronie lodowca na skale z prawej strony)

Drużyna na szczycie

Idziemy z Asią na Hintere Hintereisspitze. W tle Tomek, który samotnie wróci do schronu widocznego po lewej

Vordere Hintereisspitze w całej okazałości. 2 czarne kropki na lodowcu to tym razem nie rysie, lecz Asia i Dziku wracający po zdobyciu obydwóch wierzchołków. Autorem zdjęcia jest Tomek

Podejście do schronu dnia pierwszego. Schron widoczny na skale w środku kadru.

Relacja jak najbardziej autentyczna, pokazująca „uroki” wędrówek powyżej 3 tysięcy metrów. Opisuję tu jedynie dzień 3-ci, kiedy to obudziłem się z paskudnym samopoczuciem, zupełnie odbiegającym od tego, jak czułem się w dniu 1 i 2. Tak to właśnie w górach jest, raz lepiej, raz gorzej. Życie. W dodatku nie mam pomysłu, co z tym zrobić. Bo gdyby to była

reguła, że gorzej jest po paru dniach to można by zarządzić wtedy odpoczynek (kosztem szczytu). Ale przecież czasem pierwszego dnia najbardziej się męczę, a kolejne fruwam. I bądź tu mądry.

13.11.2022

Pobudka znów o 5-tej. Próbuję zjeść śniadanie, które zupełnie mi nie wchodzi. Potem zbieramy się całą trójką do wyjścia i schodzimy na lodowiec. Tutaj się rozstajemy z Tomkiem, który zamierza samemu przemierzyć lodowiec i zejść do schroniska Hochjoch-Hospitz. Zamiast Fluchtkogela zdobędzie dziś dwa inne 3-tysięczne wierzchołki, położone powyżej schroniska.

Ja i Asia podążamy w świetle czołówek w kierunku naszego celu. Powierzchnia lodowca wydaje się równa, z minimalnymi zafalowaniami.
Rozpatruję dwa warianty:
1. Albo jest to złudzenie i w rzeczywistości szczelin nie ma, lub są ukryte bezpiecznie głęboko pod śniegiem.
2. Albo te zafalowania to ułożone równolegle do kierunku naszego marszu zarysowane szczeliny.

Bezpieczniej jest założyć to drugie. Gaszę czołówkę, żeby w naturalnym świetle wczesnego świtu wychwycić cienie i nierówności terenu i staram się trzymać blisko krawędzi potencjalnej szczeliny. Wyobrażam sobie to tak, że wolę przejść blisko klatki z lwem, niż przedzierać się ślepo przez krzaczory, gdzie może siedzieć drugi drapieżnik.

Jeszcze przed końcem lodowca rezygnuję z prowadzenia, bo choć śnieg jest znośny i nie zapadamy się bardzo, to jednak jest to ten dzień, kiedy jestem zdolny jedynie patrzeć się w ślady i przebierać nogami. W ten sposób dochodzimy do wysokiej tyczki z umieszczonym na czubku napisem brzmiącym mniej więcej tak: „ze względu na zanikanie pokrywy lodowej tej drogi już nie ma, proszę iść sobie gdzie indziej”. Ja jednak oceniam teren przed nami jako taki, który nie powinien nastręczać problemów.

I faktycznie, bez zakłóceń docieramy do wysokości około 3200 metrów. Tutaj kładę się na skałach, telepię się z zimna, zwijam w skurczach żołądka, w końcu wymiotuję. Bełkoczę do Asi: „zrób mi zdjęcie”, nikt nie wie po co, ale przy wysokościówce to akurat nic u mnie niezwykłego (do dziś pamiętam jak w 2008 pod szczytem Blanca zmulony totalnie zdjąłem koszulkę i powiedziałem do kolegi: „zrób mi zdjęcie, ale takie na naszą klasę”). Asia mówi: „wiesz Dziku, zawsze jest opcja, że można zawrócić”. Zerkam, że szczyt tak blisko i mówię „nie no, idziemy”.

Doszuraliśmy do szczytu zaledwie 2 godziny od wyjścia ze schronu. Ja wciąż nie jem i nie piję co nie zwiastuje poprawy. Nie mam ochoty nawet spojrzeć na książkę wpisów. Potem robię Asi zdjęcia zapominając, że wcześniej przełączyłem aparat na manual, więc żadne zdjęcie nie wychodzi. Generalnie zdycham i chcę już być na dole.

Schodzimy szybko do wcześniej wspomnianych skał, ja znów na nich siadam, a potem się kładę, a potem znów rzygam. Wstaję, wiążemy się i schodzimy na lodowiec, gdzie po własnych śladach suniemy w kierunku schronu. Najgorsze co mnie czeka, to podejście chyba ze sto metrów w górę pod drzwi winterraumu. Na tym etapie sam siebie zmuszam do stawiania każdego kolejnego kroku. Jeszcze tylko zdjąć raki, jeszcze parę schodków, jedne drzwi, drugie drzwi i trzecie. Zdejmuję jedynie buty i już leżę w śpiworze. Jest 10-ta, więc ogarnęliśmy to w niecałe 4 godziny. Budzę się dopiero o 12-tej.

Jeść i pić zacznę dopiero popołudniu w schronie Hochjoch-Hospitz (2413 m). A gdy dojadę wieczorem dnia następnego do domu zerkam w lustro i załamuję ręce. Jest jakby 80% mojej objętości. Mięśnie zniknęły, a z lustra patrzy na mnie „suchmielec” (określenie, jakie zapamiętałem z dzieciństwa). Aktywny tydzień sprawił, że znów dobiłem do wskazań wagi z połowy liceum. Może jednak wyjazd w Alpy kilka dni po przebiegnięciu półmaratonu to nie był najlepszy pomysł? Kurczę, no nie wiem, życie jest takie krótkie!

PS. Fluchtkogel był moim 17-tym zdobytym szczytem z listy 33 najwyższych szczytów Austrii, zatem minąłem półmetek.

Półmaraton w ramach testu

Tło

Po przebiegnięciu półmaratonu w 2015 roku na 7 lat zrezygnowałem zupełnie z biegania. W roku 2022 – po wyleczeniu kolana – postanowiłem raz jeszcze spróbować sił na takim dystansie. Decyzja była spontaniczna, a ze względu na chorobę nie mogłem do tego biegu trenować, więc fakty były nieubłagane: otóż przez ostatnie 7 lat tylko RAZ przebiegłem więcej niż 10km, (dokładnie było to 13km na miesiąc czasu przed tym biegiem). Dlatego moim zamiarem było pobiegnięcie poniżej 2h – jedynie po to, by przetestować wiązadła.

Miało być luźniej, a było jak zwykle

Jeszcze przed biegiem postanowiłem pobiec na 1h50´, i tego balonika trzymałem się przez pierwsze 9km. W tym momencie plasowałem się na ok. 475 miejscu. Jednak po zrobieniu siku w krzakach i dogonieniu pacemakera bez zadyszki stwierdziłem, że ja tu jednak nie przyjechałem spacerować. Przyspieszyłem i trzymałem tempo do samego końca, szczególnie dużo nadrabiając na podbiegach, a skoro mowa o przewyższeniach, to było tego w sumie niemal 600m!

Do samej mety przez te pozostałe 12km biegło mi się świetnie, nie miałem żadnego kryzysu ani chwili zwątpienia. Wyraźnie zauważyłem, że mam przewagę na podbiegach, co prawdopodobnie wynika z moich górskich doświadczeń. Do samego końca wyprzedzałem zawodników i działo się to samo z siebie, przy okazji. No może poza końcówką na bieżni stadionu – tam już

wyraźnie wziąłem sobie na cel każdego w zasięgu wzroku. Wynik tego był taki, że ostatni kilometr przebiegłem najszybciej z wszystkich 21!

Z pośrednich pomiarów czasów wynika, że odkąd zdecydowałem się przyspieszyć wyprzedziłem około 220 zawodników! Startowałem bez żadnego zaplecza przy sobie, w sensie żelów energetycznych czy czegokolwiek. Korzystałem z tego, co było po drodze w punktach (banan, cukier, czekolada, izotonik, woda). Jednak do mety dobiegłem potwornie głodny i nie zapomnę smaku jabłka na mecie.

Puenta

Kolano się nie odezwało, a mi nic po biegu nie dolega. Zatem moja przygoda z bieganiem na tym półmaratonie się nie skończy i już nie mogę się doczekać kolejnego takiego dystansu. Będzie okazja na pobicie życiówki!

PS. Na godzinę przed biegiem zjadłem w aucie z termosu zupę ze zmiksowanej dyni, pomidorów i ziemniaków. Napchałem się tym trochę i nie byłem pewien, czy to dobrze, ale od startu czułem się genialnie. Zatem, tak w sekrecie podałem przepis na eliksir.

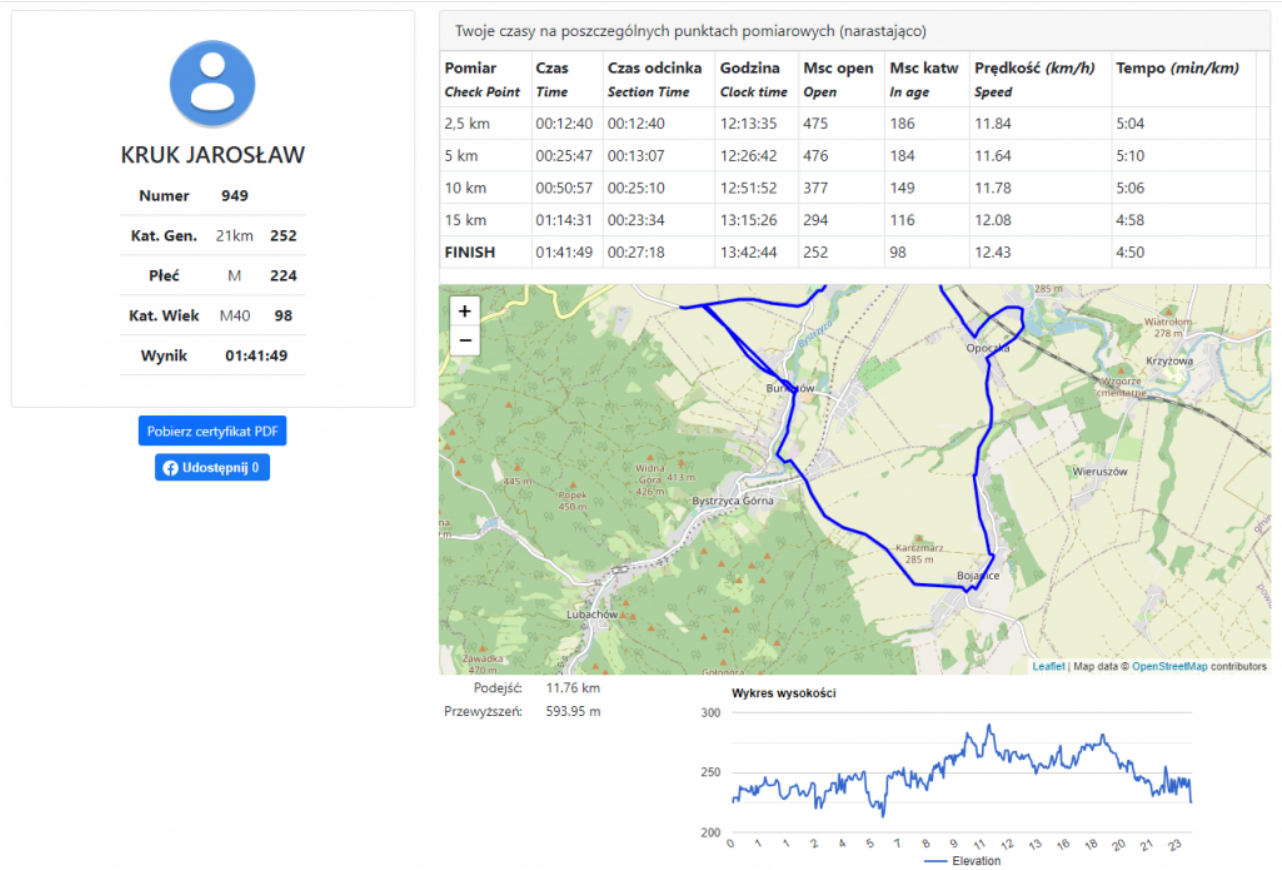

KRUK JAROSŁAW

Numer		949
Kat. Gen.	21km	252
Płeć	M	224
Kat. Wiek	M40	98
Wynik		01:41:49

Pobierz certyfikat PDF

Udostępnij 0

Twoje czasy na poszczególnych punktach pomiarowych (narastająco)

Pomiar *Check Point*	Czas *Time*	Czas odcinka *Section Time*	Godzina *Clock time*	Msc open *Open*	Msc katw *In age*	Prędkość *(km/h)* *Speed*	Tempo *(min/km)*
2,5 km	00:12:40	00:12:40	12:13:35	475	186	11.84	5:04
5 km	00:25:47	00:13:07	12:26:42	476	184	11.64	5:10
10 km	00:50:57	00:25:10	12:51:52	377	149	11.78	5:06
15 km	01:14:31	00:23:34	13:15:26	294	116	12.08	4:58
FINISH	01:41:49	00:27:18	13:42:44	252	98	12.43	4:50

Podejść: 11.76 km
Przewyższeń: 593.95 m

Weißkugel

Chcąc zdobyć najwyższe szczyty Austrii nie sposób pominąć Weißkugel, który zajmuje w tym rankingu bardzo wysokie – 3-cie miejsce. Pogodę i warunki zacząłem sprawdzać już rok wcześniej, ale tamten sezon był wyjątkowo kapryśny, jeśli chodzi o pogodę. Do podróży do Austrii w 2021 nie zachęcał również zamordyzm szczepionkowy, jaki się tamtemu narodowi udzielił.

Czego się nie udało zrobić w 2021, udało się w 2022. Na szczycie stanęliśmy 25-go dnia wyjątkowo upalnego czerwca. Relację napisałem w dniu 28-go października tego samego roku.

> Pod kątem planowania Weißkugel jest o tyle wygodny, że mamy na niego podgląd live z bardzo ładnej i praktycznej

perspektywy. Wystarczy wejść pod ten adres.

Trasa do schroniska

Parkujemy w Melago na wysokości 1915 m. Na parkingu dostępna toaleta.

Trasa do schroniska Weißkugelhütte dobrze oznaczona, stosunkowo krótka. Aktualny cennik na pewno znajdziecie w Internecie, niemniej mi pozostała w głowie kwota jaką usłyszałem: 62€ za dobę z wyżywieniem. Czyli jakieś 62 złote dla Niemca, ale nie dla nas. Dlatego na rozdrożu, ku rozczarowaniu mojej ekipy skręcam w prawo i idę w kierunku lodowca. Pozostali liczyli, że chociaż na chwilę do schroniska zajdziemy, na piwo czy coś. No ale to nie ze mną niestety, ja się pierwszego dnia nie wyluzuję, póki nie znajdę miejsca na nocleg (z dostępem do wody). Nie wyluzuję się również, wiedząc, że przed nami jeszcze kilka godzin słonecznego dnia, który można wykorzystać na tzw. zwiady, czyli obczajenie przynajmniej kawałka drogi w kierunku tego czy innego szczytu.

Namioty rozbijamy przy samym „szlaku” niedaleko jęzora lodowca. Oczywiście trzeba mieć świadomość, że każdego roku to miejsce będzie znajdowało się dalej i wyżej. Z miejsca, w którym spaliśmy mieliśmy najwyżej 20 minut drogi do schroniska, oraz zaledwie kilka minut na lodowiec.

Zwiad

Jeszcze tego samego dnia co przyjechaliśmy, tj. 23-go czerwca, ruszamy z Agą i Asią na zwiad. Docieramy do wysokości ok. 3000 metrów „normalną” drogą, czyli taką, która się pokrywa z mapą i opisami, które czytałem przed wyjazdem. Wchodząc nią jednak zataczamy koło, więc nieustannie zerkam w prawo, bo wydaje mi się, że można tamtędy krótszą trasą pomknąć do wejścia na północną grań.

Czarna kropka w środku kadru to najprawdopodobniej ryś. Natomiast za nim na horyzoncie ramię, którym następnego dnia dostaniemy się na pierwszy ze szczytów – Vordere Hintereisspitze

Wspaniały kadr widoczny o poranku ze szczytu Vordere Hintereisspitze (3437). W tle wybija się ponad wszystko inne Weißkugel (3738)

Na ramieniu prowadzącym na Vordere Hintereisspitze

Widok ze szczytu Vordere Hintereisspitze w kierunku schronu (widoczny po drugiej stronie lodowca na skale z prawej strony)

Drużyna na szczycie

Idziemy z Asią na Hintere Hintereisspitze. W tle Tomek, który samotnie wróci do schronu widocznego po lewej

Vordere Hintereisspitze w całej okazałości. 2 czarne kropki na lodowcu to tym razem nie rysie, lecz Asia i Dziku wracający po zdobyciu obydwóch wierzchołków. Autorem zdjęcia jest Tomek

Podejście do schronu dnia pierwszego. Schron widoczny na skale w środku kadru.

Zwiad nr 2

Drugiego dnia szczyt spowijają chmury. Prognozy też nie zachęcały do działania, gdyż miał padać deszcz. Mamy zatem cały dzień na rozeznanie terenu. Gdybym tylko wiedział, że prognoza się nie sprawdzi, to na pewno ten dzień spędzilibyśmy inaczej. Na przykład na zdobywaniu górującego nad naszymi głowami Weißseespitze, mierzącego 3518 metrów. Był on również w moich planach na ten wyjazd, ale spękałem przed prognozowanymi opadami.

Nie tracimy jednak tak zupełnie czasu i – tym razem z Tomkiem – idziemy obczaić tę drogę, którą wczoraj wypatrzyliśmy. Okazuje się ona krótsza i w miarę łatwa do przejścia, poza jednym miejscem, gdzie musieliśmy skakać przez szczelinę. Szybko docieramy z Tomkiem do miejsca, z którego widzimy obniżenie w grani północnej i pozwala nam to ocenić śnieżny stok, którym jutro dostaniemy się na siodełko.
Rekonesans uznajemy za udany i wracamy naokoło, podobnie jak wczoraj, normalną drogą do namiotu.

W tym czasie Asia i Aga nie próżnują i wchodzą na położony powyżej 3 tysięcy metrów punkt o nazwie Schmied. Po zejściu kierują się prosto do namiotów. W tym czasie Tomek decyduje się udać do schroniska i rozmija się z dziewczynami. Kiedy dziewczyny wracają, namawiają mnie na pójście do schroniska, które same w tej całej zabawie ominęły. Po drodze, właściwie niemal przy samych namiotach spotykamy Tomka, który wraca. Dziewczyny nakazują mu wejść z powrotem do schroniska, bo szykuje się impreza.

Impreza

Rok temu w urodziny Asi byliśmy razem pod Skrlaticą w Alpach Julijskich. I były balony. Dziś jesteśmy pod Weißkugel, i znów mamy ze sobą balony! W bufecie przy schronisku Asia kupuje 2 butelki wina i robi się naprawdę wesoło. Wracamy w dobrych humorach do obozowiska, czas teraz pojeść i wypocząć bo jutro wielki dzień.

Atak szczytowy

W nocy mam gonitwę myśli i zupełnie niepotrzebnie zaczynam mieszać. Deszcz w końcu spadł i padało do rana, a co za tym idzie, wyżej skała została przyprószona śniegiem. I co z tego? – dziś się pytam. Otóż nie był to żaden powód do zmartwień, a moja obawa o mało nie spowodowała zarzucenia planu wejścia północną granią i pójścia drogą normalną. Paradoksalnie droga normalna na Weißkugel, jak i inne drogi normlane na inne szczyty w dzisiejszych czasach przestają, lub całkiem przestały funkcjonować. A wszystko to z powodu wysokich temperatur i topnienia lodowców. Dlatego dziś nie tylko gorąco polecałbym każdemu wejście północną granią, ale zachęcałbym również do opatentowania drogi zejścia w odwrotnym kierunku.

Ale po kolei: idziemy zgodnie z planem skrótem, jaki znaleźliśmy z Tomkiem i docieramy pomiędzy odkrytymi szczelinami do zbocza prowadzącego na grań. Tutaj, już bez liny człapiemy na grań i posuwamy się wzdłuż niej w kierunku szczytu. Szczegółowo opisywać tej drogi nie będę, nadmienię jedynie, że liny na tej trasie nie używaliśmy. Trudności niewielkie, praktycznie przez całą drogę łatwa i przyjemna wspinaczka. Najbardziej strome miejsce to było te zaraz za drugim śnieżnym siodłem (tym przed szczytem). Tam odbiliśmy nieco w lewo i bocznym ramieniem wydostaliśmy się na grań przed wierzchołkiem. Być może gdybyśmy chcieli trzymać się linii grani to nie było by tak łatwo (w którymś z opisów tam właśnie asekurowano się na sztywno).

Wejście na szczyt kojarzę ze zmąconymi uczuciami, ponieważ spodziewałem się czystej walki w śniegu i lodzie, a zobaczyłem błoto. Autentycznie, brakowało tylko, żebyśmy założyli wtedy gumiaki. Ta góra niestety topi się w oczach i wspominam ją jako klasykę „zmiany warty”. Mam na myśli to, że wchodzimy w nową epokę alpinizmu, gdzie wszystkie opisy i mapy możemy włożyć do archiwum, bo wejścia na większości gór trzeba będzie patentować od nowa. I nie tylko raz opatentować, lecz kombinować za każdym razem, każdego roku, ponieważ zmiany będą

postępować tak szybko.

Zejście

Ze szczytu schodzimy w kierunku południowym, na drogę „normalną”. Linę wyciągamy dopiero przed wejściem na lodowiec Hintereisferner, i tu się zaczyna dopiero „zabawa”. Aga decyduje się przeprowadzić nas przez ten koszmar, a wyzwanie jest niemałe. To już nie ta prosta linia, jaka widnieje na starych mapach i w starych przewodnikach. Bo w 2022-gim roku (i to już w czerwcu!!!) jest to wytopiony nierówny teren, pełen podejść, zagłębień i głębokich szczelin.

Pomimo doskwierającego upału na lodowcu (kto doświadczył, ten wie o co chodzi) idzie nam całkiem nieźle. Skutecznie zbliżamy się do przełęczy, z której czeka nas zejście w miarę łatwym lodowcem do namiotów. Napotykamy jednak szczelinę, która zajmuje nam sporo czasu i kosztuje nieco nerwów. Podpowiadam tu Adze, by weszła na skałę i z niej spróbowała (dosłownie i w przenośni) przeskoczyć ten problem. Aga nie wiedzieć czemu jednak nie okazała się skłonna pójść za moją radą i wybiera wariant czołgania po wątpliwej jakości moście śnieżnym. Dopiero gdy przychodzi moja kolej i staję w tym miejscu dowiaduję się o co chodzi: skok byłby samobójczy, gdyż w miejscu lądowania znajdował się mokry i płytki śnieg, a pod spodem pustka. Jednak gdy tylko Aga znalazła się pod drugiej stronie, ryzyko zmalało, gdyż każda kolejna osoba mogła polegać na dodatkowym punkcie zaczepienia. Nawet Tomek, który przechodził ten kluczowy moment jako ostatni ryzykował niewiele, bo zapadając się w szczelinę miałby kotwicę złożoną z trójki ludzi w kopnym śniegu i we względnie bezpiecznym terenie.

Na przełęczy spoglądamy w kierunku Langtauferer Spitze (3529 m). Ten 15-ty pod względem wysokości szczyt Austrii jest również na mojej liście, ale dziś go sobie odpuścimy, bo wcale nie prowadzi na niego 40 minutowy spacer, jak to sobie wyobrażałem na podstawie starych opisów. A to oznacza, że będę

musiał tam wrócić po niego od tej czy innej strony.

Łatwa trasa, jaka miała nam od tego momentu wyznaczyć drogę do obozu nie była wcale tak do końca łatwa. To tutaj doszło do zabawnej sytuacji, w której Tomek zapadł się nogami pod śnieg i nie był w stanie się wydostać. Wróciłem do niego i próbowałem ciągnąć, pchać, kopać i podnosić, ale bez rezultatu. Ani mu tym pomogłem, ani zaszkodziłem, ale koniec końców nie musieliśmy odcinać liny i go tam zostawić (w tym gronie możemy sobie pozwolić na rzucanie takich pomysłów) i Tomek wygrzebał się z tego. Ze zdjęć z tej akcji można by ulepić niezły komiks.

Skok przez szczelinę

Docieramy do miejsca znanego nam ze zwiadów z poprzednich dni. I tu debatujemy czy: wracać normalną drogą, jak to zrobiliśmy z Tomkiem wczoraj, czy może wrócić tą samą drogą, którą rano wchodziliśmy – czyli tzw. skrótem. Decydujemy się na skrót, co było całkiem praktyczne, bo przecież szliśmy tamtędy dzisiaj, no i przecież z góry to szczeliny jeszcze lepiej widać niż idąc z dołu. No i to nie była najszczęśliwsza decyzja, bo mieliśmy wrażenie, że idziemy zupełnie innym lodowcem, niż rano. Kluczenie i błądzenie pomiędzy odkrytymi szczelinami było tym bardziej uciążliwe, że każdy z nas chciał już mieć to za sobą i brakowało cierpliwości. W pewnym momencie docieramy do miejsca, gdzie jedynym sposobem okazuje się skok przez rozpadlinę. Widząc wahanie przyjaciół i chcąc dać przykład niemal z miejsca skaczę i ląduję po drugiej stronie. Oglądam się i co widzę? Entuzjazm? Nie! 3 pary oczu patrzą na mnie i wyczytuję z nich nieme: „CHYBA CIĘ POJE…O”. Ale nie odpuszczam, proszę, namawiam: „to tylko jeden skok!”. Ulegają mi wreszcie i kolejno robimy taki numer, że gdy osoby po jednej stronie starają się utrzymać optymalne naciągnięcie liny, to ja z drugiej strony truchtam z liną i pociągam skaczącego dodając mu pędu. W ten sposób nareszcie wszyscy znajdujemy się po właściwej stronie i możemy dalej kluczyć jak pijani próbują odnaleźć drogę, którą rano bez żadnych

problemów przeszliśmy. Dalsza część opowieści byłaby już nudna i tendencyjna, więc spuentuję ją tym, że z zaliczeniem jednej gleby, po której Aga prezentowała do aparatu zakrwawione palce szczęśliwie dotarliśmy do namiotów.

I to jest koniec opisu przygody zdobywania 3-go pod względem wysokości szczytu Austrii.

> *Na czym polega istota przygody? Na tym, że zostajemy rzuceni w nieznane i nie mamy pojęcia, jak się stamtąd wydostaniemy* – **Wojtek Kurtyka**

tekst: Dziku
zdjęcia: Dziku, Tomek, Asia

Z pamiętnika (wiecznie) początkującego biegacza

Nowa kategoria

Dotarło do mnie ostatnio, ileż to podobieństw jest pomiędzy zdobywaniem szczytów górskich i bieganiem. I stąd zapadła decyzja o dodaniu wpisu z kategorii „Bieganie”. Poza tym liczę, że tym razem epizod z bieganiem potrwa dłużej i nie chciałbym, by mi pewne dane i fakty uleciały. Wpisy te będą raczej osobiste, bardziej o charakterze pamiętnikowym niż poradnikowym i żaden doświadczony biegacz nie znajdzie tu nic ciekawego. A jeśli chodzi o biegaczy początkujących – oni tym bardziej nie powinni tego czytać, żeby przypadkiem mnie za przykład nie brali. No dobra, może za dużo jednak tej samokrytyki, bo jeśli chodzi o radzenie sobie z kontuzją i nie poddawanie się, to tu mam sobie mniej do zarzucenia.

Co ma wspólnego zatem bieganie ze zdobywaniem górskich szczytów? Bez wątpienia w obydwóch „sportach” rywalizujemy sami ze sobą. Oczywiście obecność innych pomaga, dopinguje. Lepszy czas wykręcę, gdy zamiast biegać samemu po lesie, cisnę wśród setek innych biegaczy. Jednak tak samo, jak w górach, nie polega to tylko i wyłącznie na rywalizacji. Im twoi „rywale”, a tak naprawdę towarzysze są szybsi, silniejsi i więcej potrafią, tym sprawniej ty sam osiągniesz cel.

W górach, gdy osiągniesz jeden szczyt, spoglądasz z niego na inny, np. wyższy, na który już rośnie Ci apetyt. Przebiegając 10km w 46 minut zaczynasz myśleć, co zrobić, by następnym razem było to 45. I tak jak wysokości gór liczonych w metrach nad poziomem morza, tak i poziom tych czasów może być całkowicie odmienny dla różnych osób, ale to i tak podlega tej samej filozofii. Zmienia się tylko skala.

Porażka innych nie ma dla nas absolutnie żadnej wartości dodanej. Czy z osiągniętego czasu będziemy cieszyć się bardziej, jeśli dowiemy się, że inny z zawodników nie ukończył biegu z powodu kontuzji? Czy będziemy po zdobyciu szczytu szczęśliwsi, gdy dowiemy się, że jedna z ekip musiała zawrócić? Grając przez 30 lat w piłkę nożną czegoś takiego nie doświadczałem, ponieważ w piłce albo przegrywasz, albo wygrywasz. Nawet remis najczęściej oznacza czyjąś przegraną (bo drużyna była z dołu tabeli, albo wystąpiła w drugim składzie, albo graliśmy u siebie, itd). Dlatego bieganie i turystyka górska są pod tym względem absolutnie wyjątkowe.

Jeszcze jedna bardzo istotna sprawa jest taka, że do biegania i chodzenia po górach (do pewnego pułapu) prawie nic nie potrzeba. Przy optymalnych warunkach wystarczą buty, a reszta to mniej lub bardziej przydatne dodatki, które zwiększają możliwości, ale ich brak nie wyklucza Cię z tych sportów.

I tu wchodzi aspekt „głowy”: jeżeli osiągnięcie wyniku w 100% zależy od ciebie, a nie od innych i od tego, na ile ci pomogą (np. wioślarze, wszelkie gry w debla) a na ile będą

przeszkadzać (wszystkie sporty, gdzie mierzą się przeciwnicy: tenis, szermierka), to elementem grającym pierwsze skrzypce jest głowa, czy też ściślej ujmując: psychika. Gdy moje ciało jest przygotowane, i głowa o tym dobrze wie, to bez żadnych zakłóceń jest nastawiona na zdobycie szczytu. Wszystko wtedy dzieje się samo i nie muszę sobie zadawać pytania „czy dam radę?”. Podobnie jest z biegami, które rozpoczynam i kończę wpierw we własnym umyśle. Jeśli moja psychika wie (na podstawie dostarczonych danych z treningów), co mogę i co chcę osiągnąć to udział w zawodach jest tylko formalnością, sposobem na potwierdzenie tego w postaci linijki na liście z wynikami.

Długo by można na ten temat pisać, i oby była jeszcze okazja. A tymczasem prezentuję poniżej krótką, choć rozciągniętą w czasie kronikę.

Czarna kropka w środku kadru to najprawdopodobniej ryś. Natomiast za nim na horyzoncie ramię, którym następnego dnia dostaniemy się na pierwszy ze szczytów – Vordere Hintereisspitze

Wspaniały kadr widoczny o poranku ze szczytu Vordere Hintereisspitze (3437). W tle wybija się ponad wszystko

inne Weißkugel (3738)

Na ramieniu prowadzącym na Vordere Hintereisspitze

Widok ze szczytu Vordere Hintereisspitze w kierunku schronu (widoczny po drugiej stronie lodowca na skale z prawej strony)

Drużyna na szczycie

Idziemy z Asią na Hintere Hintereisspitze. W tle Tomek, który samotnie wróci do schronu widocznego po lewej

Vordere Hintereisspitze w całej okazałości. 2 czarne kropki na lodowcu to tym razem nie rysie, lecz Asia i Dziku wracający po zdobyciu obydwóch wierzchołków. Autorem zdjęcia jest Tomek

Podejście do schronu dnia pierwszego. Schron widoczny na skale w środku kadru.

2012 – First blood

Wybierając się do Nysy, by odwiedzić rodzinkę, dowiaduję się, że jest tam bieg na 10km. Hmmm, nigdy nie brałem udziału w biegu… Pakuję zatem swoje stare buty do biegania. Mają chyba z 10 lat, ale mało co były używane. Dystans pokonuję w całkiem niezłym tempie, jak na taki zryw. Dodatkowo wydaje mi się to normalne, że podczas „tak długiego biegu” należy się po drodze załatwić, co na pewno zabrało z minutę. Biegło mi się bardzo dobrze, ale za to na mecie, po zatrzymaniu, mało mi uda nie pękły. 30 lat bez rozciągania dały o sobie znać.

Bieg nr: 1
Data: 17.06.2012
Miejsce: Nysa
Dystans: 10km

Czas netto: 46:33
Miejsce general: 190
Miejsce wiekowa: 51/M30
Komentarz: na trasie wyskok w krzaki na siku

2012 – Półmaraton na kacu

Po „sukcesach” w Nysie postanawiamy z Agą przebiec półmaraton. Wypada w niedzielę, a my w sobotę idziemy na wesele. Wracamy do domu nad ranem, z czego Aga idzie na boso przez pół Wrocławia. Do Wałbrzycha na szczęście zawiózł nas kolega, bo żadne z nas prowadzić nie mogło. Aga jest nadal lekko pijana i śpi na tylnym siedzeniu. Alkomatem nikt nikogo nie sprawdzał i bez przeszkód wystartowaliśmy. Dystans 21km przebiegam bez przygód. Do dziś, po 10 latach pamiętam, że bieg umilali nam uliczni muzykanci, co było niezwykle sympatyczne. Aga podczas biegu wytrzeźwiała i zajęła 3 miejsce w swojej kategorii wiekowej.

Bieg nr: 2
Data: 26.08.2012
Miejsce: Wałbrzych
Dystans: 21,097km
Czas netto: 01:50:11
Miejsce general: 292
Miejsce wiekowa: 54/M30
Komentarz: na kacu, po weselu

2015 – Po wynik

Po 3 letniej przerwie znów mnie wzięło. Postanawiam potrenować przez chwilę i wystartować w kolejnym półmaratonie. Tym razem chcę zrobić dobry wynik, taki, co to nie tylko amatora ucieszy. Wynik, jaki uzyskałem sprawia, że mam satysfakcję do dziś.

Bieg nr: 3
Data: 19.04.2015
Miejsce: Ostrzeszów

Dystans: 21km
Czas netto: 01:38:10
Miejsce general: 56
Miejsce wiekowa: 17/M30
Komentarz: na ostatnich kilometrach coś „ciągnęła” łydka

2015 – Sztafeta

W Biegu Firmowym wystartowaliśmy z Sebastianem, Łukaszem i Rafałem pod banderą firmy GKN, w której to razem pracowaliśmy. Pod względem liczby uczestników, to edycja ta była rekordowa (3,5 tys. osób). Był to mój pierwszy bieg na podobnym dystansie, ale widząc ten dobry wynik zakładam, że musiał mi on całkiem „leżeć”.

Bieg nr: 4
Data: 16.05.2015
Miejsce: Wrocław
Dystans: 5km
Czas netto: 19:29
Miejsce drużynowo: 47
Komentarz: drużynowo 47 miejsce na 809 startujących drużyn

2015 – Najszybszy biegacz Gminy Dobroszyce

Podobnie, jak w Ostrzeszowie, na ten bieg zapisałem się z myślą o dobrym wyniku. Powiem wprost: postanowiłem wygrać kategorię obejmującą mieszkańców Gminy Dobroszyce. I jak sobie umyśliłem, tak też zrobiłem. Najmilsze w tym wszystkim było to, że żeby było do pary, to Aga została najszybszą biegaczką Gminy. Pomiar czasu był analogowy, nie wiem też jak długością trasy, dlatego zmierzonych 40 minut nie uwzględniam jako życiówki. Ale to i tak nie zmienia faktu, że na metę wbiegłem w takiej kolejności, jaka była. Apetyt rośnie w miarę jedzenia, więc postanowiłem więcej trenować, lecz zamiary te zostały pogrzebane z powodu starych kontuzji kolana. Ni z tego ni z owego nogi przypomniały sobie, że przez 30 lat kopały piłkę po kartofliskach. Wynik z rezonansu jest obszerny i zawiera wiele nieznanych mi słów. Aga skwituje to krótko: co

się dało mieć w kolanach ponadrywane, to ty właśnie miałeś.

Bieg nr: 5
Data: 17.05.2015
Miejsce: Bartków
Dystans: 10km
Czas brutto: 40:00
Miejsce general: 33
Miejsce wiekowa: 11/M30
Miejsce Gmina Dobroszyce: 1
Komentarz: ręczny pomiar czasu, wynik wątpliwy

2022 – 7 lat później

Przez ten długi czas przebiegłem się może ze 3 razy. Nie liczę oczywiście tych prób, które kończyły się półtora kilometra od domu i po których wracałem zły, kuśtykając. Dolegliwości zaczęły się ujawniać również w górach. Nie dało się już „dalej, więcej, wyżej, szybciej”. Jeszcze w 2015 roku rozpocząłem w domu pod okiem Agi ćwiczenia rozciągające i stabilizujące, które dały efekt i przynajmniej w Alpach nie musiałem się martwić, ale bieganie definitywnie nie wchodziło w grę. Przełomowy był rok 2020, kiedy to kolega namówił mnie na zabieg z udziałem pijawek (dziękuję Piotrkowi i Hirudoimpilo). Wprawdzie podczas trwania „kuracji” ujawniła się moja głupota i ignorancja, co mogło się skończyć dla mojej nogi nieszczęśliwie, ale ciężko winić za to pijawki. Nie będę wchodził w szczegóły tego epizodu, bo historia i tak zakończyła się happy endem: wiązadło od tamtego czasu do dziś (X 2022) więcej się nie odezwało. Nadal kontynuowałem lekką gimnastykę w domu i robiłem coraz dłuższe wyrypy w górach, a w roku 2022 odważyłem się znów spróbować biegania. Mimo 7 lat przerwy całkiem skutecznie.

Bieg nr: 6
Data: 29.05.2022
Miejsce: Bartków
Dystans: 10km

Czas netto: 42:21
Miejsce general: 21
Miejsce wiekowa: 6/M40
Miejsce Gmina Dobroszyce: 4
Komentarz: ten bieg ma wymiar symboliczny, ku chwale pijawkom

2022 – Rekordowo wysoko w „open”

Wystartowałem lekko przeziębiony, ale głowę miałem „mocną”. Tzn. byłem silnie zmotywowany, by dać z siebie wiele. Szczególnie dopingowała mnie świadomość kategorii „GKN”, czyli skupiającej pracowników firmy, w której pracuję. Tu chciałem zdobyć podium, choć wiedziałem, że łatwo nie będzie. Ostatecznie dobiegłem w tej kategorii 3-ci, a z wszystkich uczestników do mety dobiegłem 12-ty, co jeszcze bardziej pobudziło apetyt na kolejne treningi i biegi. Niestety póki co z tymi muszę poczekać, bo infekcja się rozwinęła i nie obeszło się bez antybiotyku. Głównie przez własne zaniedbanie i amatorstwo, ponieważ po biegu nie zająłem się sobą jak należy i nieźle mnie wytelepało. No cóż, początki są ciężkie, podobnie jak w górach…

Bieg nr: 7
Data: 16.10.2022
Miejsce: Oleśnica
Dystans: 10km
Czas netto: 41:24
Miejsce general: 12
Miejsce wiekowa: 4/M40
Miejsce GKN: 3
Komentarz: od początku do końca w okolicy pierwszej 10-tki

Weisshorn (4505m) – 48h

Czarna kropka w środku kadru to najprawdopodobniej ryś. Natomiast za nim na horyzoncie ramię, którym następnego dnia dostaniemy się na pierwszy ze szczytów – Vordere Hintereisspitze

Wspaniały kadr widoczny o poranku ze szczytu Vordere Hintereisspitze (3437). W tle wybija się ponad wszystko inne Weißkugel (3738)

Na ramieniu prowadzącym na Vordere Hintereisspitze

Widok ze szczytu Vordere Hintereisspitze w kierunku schronu (widoczny po drugiej stronie lodowca na skale z prawej strony)

Drużyna na szczycie

Idziemy z Asią na Hintere Hintereisspitze. W tle Tomek, który samotnie wróci do schronu widocznego po lewej

Vordere Hintereisspitze w całej okazałości. 2 czarne kropki na lodowcu to tym razem nie rysie, lecz Asia i Dziku wracający po zdobyciu obydwóch wierzchołków. Autorem zdjęcia jest Tomek

Podejście do schronu dnia pierwszego. Schron widoczny na skale w środku kadru.

Część pamiętnikowa

W ostatni dzień urlopu spędzanego całą rodzinką na kampingu dostajemy od babci informację, że chętnie ugości nasze dzieci. Kiedy babcia zabiera dzieci do siebie, to pierwszą rzeczą, jaką robimy, jest sprawdzenie prognozy pogody na Alpy. Pogoda zapowiadała się dobra, babcia tęskniła za wnukami, wnuki tęskniły za babcią, zatem… wracając z Beskidów podrzuciliśmy do niej dzieci i sami pojechaliśmy do domu na przepakowanie.

Następnego dnia popołudniu wyjechaliśmy z Malerzowa, nie spodziewając się, że **48h później będziemy już w namiocie cieszyć się ze zdobycia szczytu**.

Ale zanim do tego dojdzie czekało nas 16 godzin jazdy, po których to dotarliśmy na parking w miejscowości Randa. Auto postawiłem dokładnie na tym samym miejscu co rok temu, kiedy to z Tomkiem przyjechaliśmy na Dom. A w budynku informacji turystycznej porozmawiałem z tą samą Panią, co rok temu. To dobrze zwiastowało – może pójdzie tak samo dobrze jak w zeszłym sezonie na Dom.

W kilka godzin dotarliśmy do schroniska Weisshornhütte, a po krótkim odpoczynku rozbiliśmy namiot na skałach powyżej. Przed 19-tą poszliśmy spać i liczyliśmy, że to wystarczy by się zregenerować po całonocnej jeździe autem.

Kolejnego dnia – 9-go sierpnia o godzinie 2:45 – wstaliśmy,

zjedliśmy śniadanie i o 3:30 gotowi ruszyliśmy w kierunku szczytu. Wcześniej jednak kręcąc się przed namiotem dostrzegamy spadające gwiazdy. Bez zamienienia słowa oboje natychmiast wymyślamy to samo życzenie: bezpiecznie zejść.

Przed nami naliczyłem 7 ekip, które wystartowały przed nami ze schroniska. Taki był plan, żeby na spokojnie iść jako ostatni i nie kolidować z przewodnikami.

Aga od początku nie czuła się najlepiej i nie było to zaskoczeniem, bo nigdy nie służyło jej wstawanie w środku nocy i tym bardziej spożywanie wtedy posiłku. Wchodząc powyżej drugiego tarasu na żebro prowadzące na wschodnią grań było już bardzo źle. Aga proponuje, żebym poszedł sam, bo ona prawdopodobnie zawróci ze względu na problemy żołądkowe. Postanawia jednak dać sobie jeszcze szansę i iść przez pół godziny. To była bardzo dobra decyzja, bo potem zrobiło się jej nieco lepiej.

Na grani towarzyszy nam już słońce, więc w skale jest nam bardzo przyjemnie. Od tego momentu idąc z asekuracją lotną, pewnym krokiem pokonujemy skalną część i wychodzimy na śnieżną grań. Aga nie widzi sensu, żeby nadal iść związanym, po krótkim namyśle przyznaję jej rację. Zaczynamy człapać w kierunku szczytu, który zdaje się być tuż tuż. Niestety dzieli nas od niego wciąż kilkaset metrów wysokości. Aga odlicza kroki, cierpi, po prostu daje z siebie wszystko.

Niektóre ze schodzących ekip dodają nam otuchy, ktoś nawet poklepał Agę po ramieniu zapewniając, że da radę. A potem mijamy przewodników-kutasów. Zawsze psują mi humor i nie wiem jak sobie z tym poradzić. To goście, którzy mają na kurtkach naszywki z napisem: „Jestem aroganckim typem i władam tymi górami, więc nikt poza mną i moim klientem nie ma prawa tu być”. Ci goście zatrzymują się i robią nam wykłady. Rzucają jakieś liczby nie mając pojęcia, o której wyszliśmy i jakim tempem w rzeczywistości się poruszamy. Właściwie nie wiedzą o nas nic, ale widocznie w szkole przewodników uczą, by

zniechęcać innych, których się mija na szlaku.

Co by nie mówili, to jakoś jednak nam się udało, bo już po 7 godzinach od wyjścia z namiotu stajemy na szczycie. Okupione to było sporym wysiłkiem i na pewno nie można powiedzieć, by dla Agi była to jedynie przyjemność, ale tym bardziej taki sukces cieszy. Właściwie oprócz zbierania owoców braku aklimatyzacji wszystko przebiega zgodnie z planem i jesteśmy spokojni, że bez problemu poradzimy sobie zarówno z wejściem, jak i zejściem.

Dla mnie osobiście jest to jest to jedna z nielicznych gór „zrobionych” z aż takim spokojem. Myślę, że na podium załapałby się jeszcze zeszłoroczny Dom (4545m) z Tomkiem. W obydwóch przypadkach nie odczułem wpływu wysokości ani jakichkolwiek negatywnych wibracji.

Po nacieszeniu oczu widokiem z jednego z najwyższych alpejskich szczytów zaczynamy schodzić. W niecałą godzinę jesteśmy z powrotem przy skalnej grani i tu zaliczam 2 zawały serca, kiedy to Aga idąc za mną na lotnej postanawia głośno kichnąć.

Schodząc granią wspomagamy się paroma zjazdami i docieramy do punktu 3914. Dalsze zejście żebrem i potem ramieniem na południe dłuży nam się niemiłosiernie, ale też nie odbywają się tu żadne dramaty. Po prostu schodzimy sobie spokojnie, nigdzie się nie spiesząc. Popołudniu docieramy do namiotu. Minęły równo 2 doby odkąd wyjechaliśmy z domu.

Jak na taki kąsek, jakim jest Weisshorn, to w moim odczuciu poszło gładko. Choć przyznać muszę, że Aga swoje wycierpiała ze względu na brak aklimatyzacji. Jednak tym wspanialsze to dla niej zwycięstwo, bo musiała wykazać się niezwykle silną wolą.

Tekst: Dziku (13.08.2022)

Nigdy wcześniej nie widziałem Agi takiej zmęczonej jak na

filmiku, który zamieściłeś. Nigdy!” – napisał Tomek

Część praktyczna

Parking

Polecam Self Parking w miejscowości Randa za budynkiem Informacji Turystycznej, tuż przy straży pożarnej i stacji kolejowej, na której (to ważne!!!) znajduje się toaleta. Parking oferuje około 30 miejsc na otwartym terenie. Jeśli wszystkie są zajęte, to bez problemu znajdziemy miejsce na innych parkingach w okolicy (np. duży podziemny).

Wyświetl większą mapę

Na Self Parking płatność za dobę to jedyna opcja, a koszt wynosi 7CHF za dzień. Można zapłacić samemu wkładając wyliczoną kwotę i karteczkę z numerem rejestracyjnym do dostępnych tam woreczków i wrzucając to do skrzynki. Jeśli w budynku znajduje się pracownik, to można zapłacić normalnie przy kasie. 2 lata z rzędu trafiałem tam na miłą, blondwłosą Panią z tatuażem, którą jak się poprosi, to sprawdzi nam również prognozę pogody na najbliższe dni.

Z tego samego parkingu wychodzi się na szczyt Dom.

Trasa do schroniska

Z parkingu schodzimy asfaltem w kierunku głównej drogi, przechodzimy pod wiaduktem, następnie przez tory kolejowe i most nad rzeką. Wchodzimy między zabudowania Eie mijając po prawej kopalnię żwiru.

Szlak do samego schroniska Weisshornhütte (2932) jest dobrze oznaczony. Droga prowadzi od początku do końca stromo pod górę, więc szybko zdobywa się wysokość. Na 2260 mijamy murowaną oborę, gdzie można uzupełnić płyny, gdyż (sierpień

2022) z rurki ciurkała tam zimna i pyszna woda.

Do schroniska docieramy w ok. 4,5h (z pełnym ekwipunkiem na plecach). W schronisku zupa kosztowała 10,5CHF, piwo 6,5CHF. Obie pozycje równie smaczne.

Biwak

Pani zarządzająca schroniskiem udzieliła nam informacji, gdzie możemy rozbić namiot. Była miła i konkretna. Poprosiła, żeby zostawić porządek oraz żeby postępować ostrożnie w pobliżu zbiornika na wodę znajdującego się poniżej platformy na namiot.

Wskazane miejsce znajdowało się ok. 25 minut od schroniska, idąc w stronę szczytu. Okazało się równe, duże i wygodne, a na dodatek widowiskowo położone. Wodę nabieraliśmy z węża, z którego sączyła się ona do wspomnianego wcześniej zbiornika. Drugi koniec węża pociągnięty był wysoko na lodowiec. Biwakując należy dbać o to, by żadne zabrudzenia nie dostały się pośrednio lub bezpośrednio do beczki, gdyż woda ta jest używana w schronisku. Problem z wodą, a właściwie jej

brakiem staje się w Alpach bardzo dotkliwy.

Atak szczytowy

Na trasie wyrosło mnóstwo kamiennych kopczyków i jakby się uprzeć, to również wszędzie można by odnaleźć ślady butów. To niedobrze, bo można się zamotać. Dlatego ja opiszę jeden wariant, który na ten moment (sierpień 2022) wydaje mi się najwłaściwszy.

Start

Od schroniska ścieżką prosto w górę (w tym wariancie NIE skręcamy w ścieżkę w lewo), docieramy do (drugiej) beczki z wodą i wchodzimy na nieco stromy stopień skalny. Znajdujemy się teraz przy miejscach na namioty.

Ścieżka i kopczyki ponownie ciągną nas w lewo, ale proponuję nie zmieniać kierunku marszu, lecz minąć tablicę i dojść do lodowca praktycznie bez utraty wysokości. Na tej trasie też znajdziemy liczne kamienne kopczyki, jednak nocą niełatwo je dojrzeć. Na lodowiec wchodzimy na wysokości ok. 3100m i proponuję iść w lewo równo po poziomicy. Czołówka i raki w zupełności wystarczą, nie było potrzeby wiązać się liną. Oczywiście mówię o warunkach, kiedy lodowiec jest całkowicie odkryty.

Tym sposobem nie tracąc wysokości docieramy do skał po drugiej stronie. Już z lodowca możemy dostrzec odbijające się światło od tzw. „kocich oczek” (odblaskowe naklejki na skałach). Poruszamy się zatem po wydeptanej ścieżce usłanej kopczykami, a na dodatek naszą drogę wyznaczają „świecące” punkty. Naprawdę nie tak łatwo się zgubić, nawet nocą.

Po pokonaniu skalnego stopnia nietrudną, a i tak częściowo zaporęczowaną drogą docieramy na Taras#1 (3143).

Ramię południowe

Wspinając się skalnym ramieniem należy przyjąć na tym odcinku 2 ważne zasady: 1-trzymamy się kantu i unikamy schodzenia na prawo czy lewo, oraz 2-jeśli trudności zdają się przekraczać poziom II to oznacza, że właściwa droga

znajduje się gdzieś obok. Czasem wystarczy wychylić się i zajrzeć za skałę. Tak jest np. z jednym kluczowym punktem, gdzie z prawej strony skały znajduje się ukryta poręczówka. Patrząc na wprost jest ona zupełnie niewidoczna.

Ramię kończy się kolejnym tarasem.

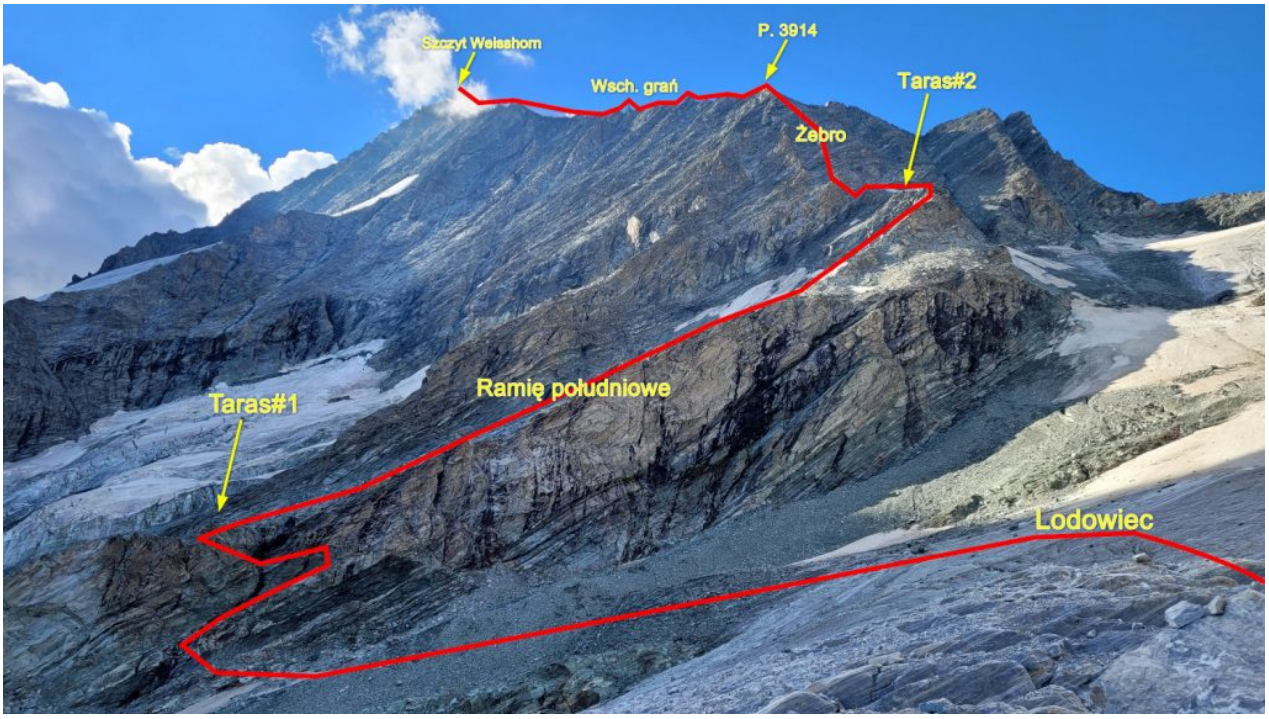

Zdjęcie zrobione w pobliżu biwaku

Żebro

Po dotarciu na Taras#2 (~3550) skręcamy w lewo podchodząc pod stromą ściankę. Trudnościami na poziomie II spinamy się na żebro, na którym również wskazane jest trzymanie się jego krawędzi. Wprawdzie dookoła kuszą wydeptane ścieżki, ale wspinaczka żebrem nie przekracza II (jeśli natrafimy na trudniejsze miejsce to znaczy, że coś poszło nie tak), zatem po co eksperymentować z szukaniem drogi, a w szczególności po ciemku. Żebrem, po 4h (od schroniska) docieramy do skalnego odcinka wschodniej grani (punkt 3914).

Skalna grań

Jest to jedyny odcinek, na którym szliśmy związani liną.

Między nami było kilka metrów jednej bliźniaczej żyły i stosowaliśmy jedynie asekurację lotną. Dla nas było to bardzo wygodne, ale tu już każdy musi sam sobie wybrać, co dla niego jest odpowiednie. Możliwe jest tam też wg mnie żywcowanie. Jakiejkolwiek metody nie wybierzemy – bezwzględnie potrzebne są tu: pewny chwyt, pewny krok, równowaga i obycie z ekspozycją.

dzikumaniak.pl

Co do samej grani: możliwe i wskazane, by poruszać się ściśle po ostrzu. Da się tego dokonać nie wykraczając poza trudności III-, za wyjątkiem jednego miejsca zaraz na początku. W miejscu tym, aby wspiąć się na skałę z dwoma koluchami i stalowym prętem, „musimy” skorzystać z pozostawionej tu pętli na stopę. W przypadku braku pętli możemy szybko założyć swoją sięgając do pierwszego kolucha.

Śnieżna grań

Od momentu dotarcia do śniegu w rakach i z czekanem człapiemy w kierunku widocznego przed nami wierzchołka. Niebezpieczeństwa to możliwe oblodzenia, 2 szczeliny do przekroczenia oraz możliwość utraty równowagi, a przy słabej widoczności nawisy. Przy solidnie przedeptanej trasie nie obawiałbym się żadnego z wymienionych.

dzikumaniak.pl

Wierzchołek

Wspinając się na znajdujące się na końcu grani bloki skalne (II) stajemy na wierzchołku Weisshorna (4505). Widoki są imponujące. Dodatkowo jest to szczyt jedyny w swoim rodzaju, ponieważ stoimy na czubku otoczonym ze wszystkich stron przepaścią lub jedną z 3 bardzo stromych i ostrych grani.

Od startu z namiotu zajęło nam to 7 godzin i wydaje się to być sensownym czasem, ponieważ uwzględnia zarówno sprawne poruszanie się i brak błądzenia, lecz również opóźnienia wynikające z choroby wysokościowej Agi (krótkie lecz częste odpoczynki).

Zejście

Zejście dokładnie tak samo jak wejście, z tym, że we wszystkich wymagających tego miejscach wykonujemy zjazdy. Lina 30m (15m zjazdu) wystarczy na całej grani. Z dwóch połączonych ze sobą żył skorzystaliśmy dopiero wtedy, kiedy z żebra zjeżdżaliśmy na Taras#2 (25m). Potem na ramieniu jeszcze raz zjechaliśmy na całą długość (30m) z pozostawionego mailona i repów. Ominęliśmy w ten sposób wspomnianą poręczówkę ukrytą za skałą. Jednak miejsce to

można zewspinać co najmniej na 2 sposoby i zjazd nie jest konieczny.

Zejście do namiotu zajęło nam ponad 6 godzin. Zaznaczę tu jednak, że nigdzie nam się nie spieszyło i poza szybkim (poniżej godziny) pokonaniem śnieżnego odcinka szliśmy resztę drogi bez pośpiechu i ciśnienia. Pogoda była piękna, a my mieliśmy ze sobą dostateczną ilość jedzenia i picia.

Zatem całość zajęła nam nieco ponad 13 godzin. Co ważne: przez cały czas bez stresu, spokojnie, bez pośpiechu i bez utraty kontroli choćby na moment.

Tekst: Dziku (13.08.2022)

Szczyt zdobyliśmy 09.08.2022 około godz. 10:30.

Solo

Czarna kropka w środku kadru to najprawdopodobniej ryś. Natomiast za nim na horyzoncie ramię, którym następnego dnia dostaniemy się na pierwszy ze szczytów – Vordere Hintereisspitze

Wspaniały kadr widoczny o poranku ze szczytu Vordere Hintereisspitze (3437). W tle wybija się ponad wszystko inne Weißkugel (3738)

Na ramieniu prowadzącym na Vordere Hintereisspitze

Widok ze szczytu Vordere Hintereisspitze w kierunku schronu (widoczny po drugiej stronie lodowca na skale z prawej strony)

Drużyna na szczycie

Idziemy z Asią na Hintere Hintereisspitze. W tle Tomek, który samotnie wróci do schronu widocznego po lewej

Vordere Hintereisspitze w całej okazałości. 2 czarne kropki na lodowcu to tym razem nie rysie, lecz Asia i Dziku wracający po zdobyciu obydwóch wierzchołków. Autorem

zdjęcia jest Tomek

Podejście do schronu dnia pierwszego. Schron widoczny na skale w środku kadru.

Wstęp

O samotnym wypadzie w Alpy pierwszy raz pomyślałem jakoś 2 lata temu. Być może miało to związek z wyskokiem na Hinterer Brochkogel (3628), podczas gdy reszta ekipy kontynuowała zejście z Wildspitze (3770) do miasteczka. Rok wcześniej zaliczyłem niemal spacerowy Böses Weibl (3119), a jeszcze wcześniej całkiem wysoki Piz Morteratsch (3751) oraz Leibnitzer Rotspitzen (3101).

Ostatnie 2 sezony przeminęły, a plany zrealizowałem na tyle, na ile pozwoliły prognozy (pogoda była wyjątkowo kapryśna) oraz terror parapandemiczny. I tak uporem tylko i naszą determinacją nie straciliśmy 2 lat pod kątem alpejskim.

Dopiero w 2022 roku stwierdziłem, że czas najwyższy powrócić do tego pomysłu. Tym bardziej, że poukładały się pod to korzystnie wszelkie możliwe czynniki, których nie będę tu wymieniał. O jednym jednak wspomnę, bo ma to niemałe znaczenie pod kątem tej przygody, oraz innych górskich planów, jakie zamierzam realizować w przyszłości: w Alpach czuję się już zdecydowanie pewniej, niż kiedyś. Właściwie od jakiegoś już czasu czuję się tam tak, jak się pewnie czują turyści, którzy co roku przyjeżdżają w to samo miejsce nad Bałtykiem. Coraz mniej jest mnie w stanie zaskoczyć, a wszelkie nieplanowane

zakłócenia i trudności udaje się pokonać dzięki instynktowi i doświadczeniu.

W poniższej relacji opiszę własne doświadczenia i przemyślenia, jednocześnie oddzielając od niej (w takich właśnie ramkach) informacje praktyczne. Czyli takie, które mogą ułatwić innym realizację podobnych planów w tamtych rejonach.

Dojazd

Tego bałem się najbardziej i to była jedyna wątpliwość, która spowodowała, że byłem o krok od zrezygnowania z mojego planu. Najpierw umieszczałem ogłoszenia w grupach górskich, że szukam ekipy do samego dojazdu nie wierząc, że mogę ten dystans sensownie (czas, kondycja) przejechać sam. Po miesiącu bez odzewu zmieniłem ton i szukałem już partnerów włączając w to wyjście w góry. Mimo kilku postów na FB nie było odzewu i to było dla mnie zaskoczeniem. Tuż przed wyjazdem liczyłem jeszcze, że zdecyduje się na wyjazd ktoś z moich bliższych, sprawdzonych kompanów, ale kiedy już było wiadomo, że nikt ze mną nie pojedzie trzeba było podjąć męską decyzję.

Co sprawiło, że jednak zdecydowałem się pojechać? Po pierwsze, w rozmowach z ludźmi sam sobie uświadomiłem, że mam już za sobą długie trasy, gdzie mimo zmienników to ja spędziłem zdecydowaną większość czasu za kierownicą (Macedonia, Gibraltar, Pireneje, liczne wyjazdy w Alpy). Po drugie: doskonała prognoza pogody, a tego nie można zmarnować. Po trzecie: dobre przygotowanie teoretyczne (studiowanie opisów i map), praktyczne (wcześniejsze wizyty w tamtym rejonie) i fizyczne (w wieku 42 lat „nabawiłem się” szczytowej formy).

Rady przypasują podróżującym z Wrocławia lub porównywalnej części Polski (czyli nie dla alpinistów z Suwałk lub Lublina):

Wyjeżdżając wieczorem omijamy popołudniowe korki i zyskujemy w pierwszych godzinach najwięcej pokonanych kilometrów. Od

18 do 23-ciej (w moim przypadku była to 21:00-02:00) jesteśmy w stanie urwać nawet 600km i wciąż mamy przed sobą noc, którą możemy przespać. Z racji tego, że lepiej się śpi na spokojnym i ciemnym parkingu proponuję wybrać trasę przez Regensburg (93), a nie przez Nurnberg (9). Mam wrażenie, że jest mniej ruchliwa a parkingi bardziej spokojniejsze i mniej oblegane. Rano startując w dalszą trasę nawet o godzinie 6-tej wciąż mamy dużą szansę dojechać grubo przed południem na miejsce. A to oznacza, że jeszcze tego samego dnia możemy znaleźć się odpowiednio wysoko, rozłożyć obóz i wyspać.

Vent

Do parkingu przy kaplicy dojeżdżamy skręcając w Vent w lewo w drogę do wyciągu krzesłkowego. Najpierw po lewej mamy parking pod wyciągiem (5€ za dobę), a następnie, zaraz za płotem jest darmowy parking pod kaplicą. Warto wspomnieć o jeszcze jednym parkingu, tuż przed wjazdem do miejscowości. Tam, podobnie jak pod wyciągiem doba kosztuje 5€. Jak darmocha. Vent jest bardzo małą mieściną, więc to wszsytko jest w zasięgu paruminotowych spacerów i nie ma większego znaczenia (poza finansowym) gdzie zaparkujemy.

Ja dotarłem do Vent koło 12-tej, zatrzymałem się na parkingu przy kaplicy i zacząłem się z lekka telepać. Trzęsącycmi się rękami przygotowałem jedzonko, a potem spakowany ruszyłem na szlak. I zaraz po 50 metrach zawróciłem do auta bo zapomniałem Litorsalu. Uff, ryzykowanie postąpiłem nie pakując go od razu do plecaka. Zrobiłem to dlatego, że od godziny dotarcia na miejsce zależne było, którą pierwszą górę wybiorę i czy będzie to góra z biwakiem, czy pokonam ją na jeden strzał.

Zdecydowanie polecam już w domu spakować do plecaka wszystko to, co zamierzamy zabrać w góry. Strategia, że dopiero na miejscu dopakuję okulary przeciwsłoneczne ze schowka w aucie, czołówkę z kieszeni bocznych drzwi i rękawiczki z torby podróżnej powoduje najczęściej nerwówkę w stylu „o czymś miałem pamiętać, ale co to było?!”.

Szlak

Trasa do Ramoljoch od kaplicy/wyciągu najpierw prowadzi przez mostek, a następnie wychodzimy na ulicę znajdującą się powyżej i zobaczymy furtkę i wyraźne oznaczenia w postaci strzałek. Nasz szlak wyznaczają strzałki: „Ramolhaus 5h”, „Ramoljoch 4,5h”, oraz „Ramolalm 1h”. Dalsza trasa jest jasna, intuicyjna i prowadzi niezmiennie pod górę. Wpierw stromo przez las, potem stromo przez trawiaste zbocza, a potem – już mniej stromo – przez gruzowiska powstałe z osypujących się z lewej skał.

W relacji z 2017 roku wspominałem o platformach i dostępnej w pobliżu wodzie na wysokości około 2800 metrów. Niestety w 2022 roku nie było już ani śladu po płynących tam strumykach. Podszedłem zatem nieco dalej i wyżej i dopiero przy samym języku lodowca wypatrzyłem miejsce mogące się nadawać do rozbicia namiotu. To był złoty strzał, bo miejsce miało same zalety:

Biwak

Miejsce przy lodowcu:
– jest na wysokości około 3000 m n.p.m., więc gwarantuje nam to łatwy i szybki dostęp do przełęczy i okolicznych szczytów,
– jest stosunkowo szybko dostępne z Vent (do pokonania jest 1100 mH i zajmuje to 3-4h),
– jest wystarczająco daleko od szlaku, by nasz namiot (jeśli ma maskujące barwy) nie rzucał się w oczy,
– mamy zapewnioną przez całą dobę czystą wodę wypływającą z jeziorka powstałego z topniejącego lodowca,
– mamy nieograniczoną ilość kamieni do utwierdzenia namiotu lub do zbudowania murku.

Jedyne co mi teraz pozostało, to dłubanie słonecznika, którego zabrałem spory zapas, oraz wypoczywanie.

11.07.22 – dzień 1: Hintere Spiegelkogel (3426), Firmisanschneide (3491), Schalfkogel (3540)

Wychodzę koło 5:15, szybko dostaję się na przełęcz Ramoljoch (3182) i skręcam na grań w prawo. Od tej pory, przez najbliższe 5,5h będę się poruszał ściśle cały czas granią. I tu niemiła niespodzianka: buty, w których mam okazję poruszać się w Alpach po raz pierwszy jeżdżą po skale niczym wrotki. Najmniejsza wilgoć na skale powoduje, że czuję się jakbym w klapkach wspinał się po gładkim lodzie. Grań nie jest trudna (wycena I, czyli coś, co osobiście nie klasyfikuję jako wspinaczki), jednak jest tak eksponowana, że poślizgnięcie się i upadek to gwarantowana tragedia. Idę bardzo ostrożnie, skupiam się na każdym kroku, równo, powoli, bez podbiegów. Bardzo szybko docieram na Spiegelkogel i wpisuję się do książki wpisów.

Następny w kolejce czeka Firmisanschneide. Trudności są wciąż te same, czyli wystarczy pewny krok i tylko sporadycznie pojawiają się trudności w postacie kruszyzny (co może po prostu oznaczać, że zszedłem ze szlaku) lub urozmaicenia w postaci większych bloków skalnych do pokonania (co również może być znakiem, że gdzieś obok jest łatwiejsza ścieżka). Te trudności mieszczą się jednak w kategoriach „potrzymaj mi piwo” i są niezwykle przyjemnym dodatkiem do wspaniałych widoków. Tym bardziej, że skała zdążyła już wyschnąć, a problemy z butami przestały być aktualne.
Książka wpisów na szczycie kompletnie zgnita i przemoczona. Taka papka w kształcie kostki, no trudno.

Przede mną najdłuższy fragment grani: najpierw schodzę na Firmisanjoch, a następnie docieram do śniegu przed samym szczytem Schalfkogela. Ten fragmencik pokonuję z rakami na nogach. Pewnie w Meindlach bym sobie te raki odpuścił, ale tym butom, które mam na sobie nie mogę ufać. Jest jeszcze jedna rzecz: nie czuję się idealnie. Typowa lekka wysokościówka, co trochę jest dla mnie zaskoczeniem, bo przecież kręcę się cały czas w okolicy 3500 m n.p.m. Czas mam i tak dobry, bo gdy idę

samemu to nie odpoczywam. Ale zupełnie nie szarżuję, jak to mam w zwyczaju, żadnych podbiegów, zeskoków, po prostu z uporem, równo do przodu. Nie bardzo chce mi się pić ani jeść, więc wiem, że będę szybko tracił siły. Dlatego lepiej nie marudzić tu za długo tylko zrobić robotę i wracać do namiotu. Robię fotki na Schalfkogel i ponownie schodzę na Firmisanjoch.

Zaczyna się najbardziej problematyczny fragment dzisiejszej wycieczki: odnalezienie drogi zejściowej do schroniska. W paru miejscach widzę daleko na śniegu ślady i ufając intuicji zaczynam schodzić w ich kierunku. Droga nie jest oczywista, przede mną są spore spadki terenu i do końca nie wiem czy zaraz nie stanę w martwym punkcie nad przepaścią. Cieszę się, kiedy w końcu docieram do śladów i co widzę? To odciski spadającego kamienia! Zły strzał tym razem, ale bez dramatu, bo wkrótce natrafiam na szlak. Potem gubię go jeszcze raz i czuję lekki niepokój, bo co z tego jak majaczy przede mną schronisko na skale, jak ja nie wiem jak do niego dotrzeć. Na grani wszystko było oczywiste i nie dało się zabłądzić. Tu po raz pierwszy sprawdzam na telefonie pozycję na OSM i widzę, że szlak jest dosłownie odrobinę poniżej. Pewnie jakbym się pokręcił to obeszło by się bez takiego oszustwa, ale po co komplikować sobie życie, no i trzeba oszczędzać siły na jutro.

Przed schroniskiem orzeźwiający wodospad, w którym obmyłem twarz z trudów dnia i z kremu do opalania. Tak odświeżony zawitałem do schroniska i zamówiłem zimne piwko. Pani zerka na mój dokument kiedy wyciągam banknot i mówi do mnie po polsku „duże piwo poproszę”, czym mnie totalnie zaskakuje. Dowiaduję się, że obsługa pochodzi z Czech.

Po tym piwie tak się zregenerowałem, że przez moment zastanawiam się, czy jeszcze na Ramolkogel nie pójść. Na szczęście szybko mi ta ochota mija. Teraz tylko wdrapać się niecałe 200m na Ramoljoch i zejść tyle samo w dół do namiotu.

Jest wczesna pora, ale ja resztę dnia już leżę tylko i dogorywam. Czuję się, jakbym był na 4000 m n.p.m. Wprawdzie

żadnego bólu głowy, ale taki jakiś przeżuty jestem i bez apetytu. W sumie czemu się dziwić, dziabnąłem dobre kilka kilometrów grani, potem drugie poniżej plus całe podejście i zejście z Ramoljoch. Uzbierała sięspora kupa metrów wysokości oraz kilometrów dystansu.

```
05:15 – start z namiotu (3000)
05:40 – Ramoljoch (3189)
06:25 – Hint. Spiegelkogel (3426)
07:45 – Firmisanschneide (3491)
10:20 – Schalfkogel (3540)
12:30 – Ramolhaus (3006)
14:15 – namiot (3000)
```

Te 9h uwzględniają zarówno marsz, jak i postoje na szczytach lub w trasie. Tego dnia spędziłem nieco więcej czasu (po ok. 15 minut) na każdym ze szczytów oraz w schronisku (55 minut). Poza tym – wyłączając paruminotowe przystanki – szedłem niemal cały czas spokojnym, lecz równym tempem. Mimo pięknej pogody nikt poza mną tego dnia na grani się nie pojawił.

12.07.22 – dzień 2: Großer Ramolkogel (3550), Anichspitze/Nördlicher Ramolkogel (3428)

To ważny dla mnie dzień! 5 lat myślałem o Ramolkogelu i to właśnie dziś mam odhaczyć tę górę, której z niewiadomych przyczyn autentycznie się boję. I jak się dziś okaże – nawet słusznie.

Z namiotu startuję godzinę później niż wczoraj, czyli koło 06:20. Po wczorajszych doświadczeniach z „jazdą na wrotkach” chcę mieć pewność, że skała będzie już sucha. Znów wchodzę na Ramoljoch i tym razem tracę zdobytą wysokość schodząc z drugiej strony. Teraz w lewo w kierunku przełęczy, trochę po kamieniach, trochę po lodowcu, trochę po piargach i na koniec znów po lodowcu. Przez cały czas bliżej prawej strony (patrząc

w górę), a na koniec podążając dosłownie tuż przy skałach po prawej. W rakach wygodniej, choć stromizna nie jest jakaś imponująca i okazuje się, że jedynie z daleka straszyła.

Od siodła do samego szczytu wspinamy się po grani. Trudności niemal cały czas II, do tego bardzo przepaściście i nie wszystkie skały wyglądały stabilnie. Kilka razy miałem wątpliwości, czy nie będzie problemu z zejściem. Zaskoczeniem był dla mnie fakt, że prawie cała grań była obita. W żadnej relacji nikt o tym nie wspominał, zresztą plakietki wyglądały jakby wczoraj zostały z paczkomatu wyjęte, więc ewidentnie świeża sprawa. W ogóle zdziwiłem się trochę i jednocześnie bardzo ucieszyłem, że widać ludzkie ślady. Najbardziej się chyba bałem tego, że grań okaże się zupełnie niechodzona. Pojawiały się o tym szczycie opinie, że jest niesprawiedliwie mało doceniany i niepopularny. Być może się to zmienia.

Wspinaczka wymagała skupienia i uwagi przez niemal cały czas, ale z charakterystycznych punktów podczas wejścia opiszę tylko jeden, ale to za chwilę. Po wejściu na Mitteler Ramolkogel szczyt wydaje się bardzo blisko, jednak gdy się patrzy na dalszą drogę to jednocześnie sukces wydaję się być jeszcze daleko. Niczym w transie, w skupieniu na chwytach i stopniach i za dużo nie myśląc, docieram do charakterystycznych 2 dużych skał tworzących między nimi wąskie przejście, co najwyżej szerokości człowieka. I tu był wspomniany punkt krytyczny.

Najpierw próbowałem w miejscu za przesmykiem między wspomnianymi wyżej skałami. Dało się tam przejść po skałach zawieszonych nad bardzo stromym żlebem. Jednak bloki te zdawały się wisieć w próżni zahaczone w jakiś niezrozumiały i niepewny sposób o grań. W głowie nieustanna kalkulacja, czyli coś, co robię przez cały czas gdy napotykam trudności w górach:
+ za łatwy teren żeby się zsunąć, a nawet gdybym spadł to jest szansa, że pomimo bardzo stromego terenu poniżej nie połamię się i wyhamuję,
– jeśli spadnę to na bank tylko i wyłącznie przez to, że

polecą te skały, których się będę trzymał i po których będę szedł, a wtedy kaplica.

Ten problematyczny odcinek jest bardzo krótki i jakbym miał długą tyczkę to wychyliłbym się i dotknął wąskiego siodełka, gdzie teren wygląda już na łatwiejszy. Przychodzi mi do głowy myśl, żeby zawrócić. Wracam przez przejście między skałami i wpadam na dziwny pomysł, żeby zadzwonić do żony i powiedzieć jej, że się poddaję. Chyba podświadomie liczę, że usłyszę (i to byłoby bardzo możliwe) coś w stylu: „Przestań się mazgaić tylko idź na szczyt”. Wyciągam telefon i widząc, że jest zasięg decyduję się najpierw odpalić po raz drugi na tym wyjeździe OSM i zobaczyć, jak daleko do szczytu. Aplikacja pokazuje: 70m w linii prostej. 70m! Nie poddam się!

Próbuję ściśle granią. Na szczycie skały widzę pętelkę z repa. Jak do niej dojść?! Wspięcie się tam to już co najmniej wspinaczkowe III no i pozostaje jeszcze obawa: a jak ja stamtąd zejdę bez liny?

Po paru macankach ze skałą i szukaniu chwytów i stopni decyduję powrócić do szpary między skałami na drodze, którą probówałem jako pierwszą. Wybieram wariant, na który wcześniej nie wpadłem. Schodzę w stromy teren trzymając się jedynie przez chwilę jednego z dwóch bloków skalnych, które mnie wcześniej odstraszyły. Następnie w pyle i kruszyźnie przemykam pod wspomnianymi skałami, które prędzej czy później bez ostrzeżenia runą w przepaść, wdrapuję się na wąskie siodełko i bingo! Teren robi się już łatwiejszy, dochodzę do krótkiego odcinka śniegu. Mimo, że jest to tylko parę metrów używam tu czekana, po czym zostawiam go przy skale i wchodzę ostatnim odcinkiem po kamieniach na szczyt.

Tuż pod szczytem mijam spory kawałek starego drewna. Ewidentnie pozostałość po krzyżu, który na wierzchołku kiedyś był, ale już go tam nie ma. Nie znalazłem też książki wpisów. Tak piękny i wymagający szczyt i tak niedoceniony! Na byle pipantach Austriacy ustawiają imponujące krzyże, a tu jedynie

nieforemna kupka kamieni pomazana farbą. Jestem tak roztrzęsiony, że nawet nie zrobię temu kopczykowi zdjęcia. Fotografuję natomiast kozicę, która pomyka po bocznym ramieniu odchodzącym z grani w kierunku zachodnim. Obecność zwierzęcia mnie uspokaja. Nie wiem od kiedy, chyba od zawsze obecność zwierząt w górach postrzegam jako dobry znak. Myślę, że nie raz uratowało mi dupę samo to, że zobaczyłem ich ślady i podniosło mi to morale w trudnej chwili.

Rejestruję również, że na grani po drugiej stronie szczytu są kopczyki z kamieni. Czyżby droga była chodzona również od tamtej strony? To, że jest do przejścia to wiem, bo znalazłem jeden jedyny taki opis w Internecie. Nawet miałem ciche pragnienie dokonać takiego trawersu i zejść z drugiej strony przez tzw. Rotkarle. Nie chciałem jednak przekombinować, bo choć grań w dalszej części zapowiada się ciekawie, to wyszukiwanie drogi na pokrytych kruszyzną nieprzetartych zboczach może się potem skończyć nerwówką.

Strach przed pokonaniem grani w drodze powrotnej powoduje, że tłumię wszelką ciekawość i zaczynam „uciekać” (powiedziałbym nawet, że spier…lać). Na wąskim siodełku obieram wariant „po wiszących skałach” zakładając po prostu, że polecą kiedy indziej, ale nie dziś. W dalszej części idzie już bardzo gładko. Tylko w jednym miejsscu, gdzie skierowałem się na prawo, a powinienem przejść górą, natrafiłem na wyjątkowo emocjonujący moment. Ach, gdyby ktoś był i zrobił mi wtedy zdjęcie! Mając setki metrów ledwo co nachylonej skały pod sobą stąpam po stopniach wielkości co najwyżej połowy podeszwy. Ręce nie mają czego chwycić więc przytulam się do skały. 1, 2, 3 kroczki i już jestem z powrotem na właściwym szlaku. Próbuję to miejsce, które przeszedłem sfotografować, więc opieram się o skałę i widzę przy twarzy tabliczkę upamiętniającą czyjąś śmierć w tym właśnie miejscu.

Dalsza droga przebiegła ekspresowo, a obawy przed powrotem okazały się nieuzasadnione. Zaczynam na to wszystko zupełnie inaczej patrzeć. Zdaję sobie sprawę, że podświadomie szukałem

trudności i problemów, co wynikało z zakodowanego strachu przed tą górą. Po wejściu na szczyt i zejściu na przełęcz wszystkie trudności wydały mi sie mniejsze. Poszedłbym tam raz jeszcze!

Bo wszystko tkwi w głowie…

06:20 – start z namiotu (3000), przejście przez Ramoljoch i zejście z drugiej strony
07:45 – na przełęczy przy wejściu na grań Ramolkogela
08:53 – na szczycie Großer Ramolkogel (3550)
09:50 – z powrotem na przełęczy

Droga przez cały niemal czas wspinaczkowa (II). Trochę ruchomej skały ale będąc uważnym naprawdę kawał dobrej zabawy. Przed samym szczytem po przejściu na lewą stronę grani między dwoma wielkimi blokami skalnymi (szczelina szerokości człowieka) trzeba dostać się na malutkie siodełko pokryte żwirem i piachem. Dla mnie to miejsce było bardzo problematyczne, gdyż trzeba było przejść po (lub pod) dwoma blokami skalnymi. Jeden z tych bloków opierał się na drugim, a ten drugi wyglądał, jakby się opierał na niczym. Być może znalazłby się inny sposób na pokonanie tego miejsca. Ja wybrałem taki wariant, który w razie upadku dawał mi jeszcze jakieś szanse. Idąc od prawej strony lub przez czubek żandarma odpadnięcie bez asekuracji mogło skończyć się w jeden tylko sposób.

Droga obita (prawdopodobnie dopiero co), liczne punkty do asekuracji w postaci spitów, pętelek z repa oraz co najmniej jedno stanowisko. W moim przypadku będąc sam i bez liny nie byłem w stanie takiego wariantu przetestować.

Na podejściu do grani oraz w zejściu przydatne raki. Czekan zbędny. Kasku nie zabierałem, ale zawsze lepiej mieć, bo gdyby były inne zespoły to mogliby strącać na głowę kamienie. Ja tego dnia mimo pięknej pogody nikogo nie spotkałem.

Przy słonecznej pogodzie wystawa powoduje, że skała momentalnie staje się sucha.

Po ochłonięciu na przełęczy i odczytaniu paru wiadomości od chłopaków z pracy, które zdecydowanie wprawiły mnie w dobry humor, poszedłem na Anichspitze (3428). Jaki szczyt, takie wejście, czyli trwające góra 15 minut. Wybitność szczytu jest mała, ale jego dostepność i widoczność z każdej niemal strony powoduje, że stał się łatwym kąskiem dla osób przybywających do Ramolhaus. W odróżnieniu do Großer Ramolkogela na szczycie znajduje się imponujący krzyż z czystą, zadbaną książką wpisów.

Anichspitze (3428) to właściwie jedynie mało wybitny wierzchołek tuż przy drodze na Großer Ramolkogel. z przełęczy dostępny jest w zaledwie 15 minut. Zejść (lub wejść) można też inną granią, skierowaną prosto na schronisko Ramolhutte. Drogi łatwe, spacerowe, jednak samo podejście pod każdą z grani wymaga pokonania tego, co pozostało z lodowca Ramolferner. Zatem raki i czekan zawsze lepiej ze sobą mieć, dla komfortu psychicznego. Na szczycie krzyż i książka wpisów.

Ponieważ w południe byłem już z powrotem w namiocie, na spokojnie się spakowałem i popołudniu byłem z powrotem przy aucie w Vent.

13.07.22 – dzień 3: Vorderer Brochkogel (3565)

Nie chcąc spać w środku miejscowości podjechałem kilkaset metrów na parking przy wjeździe do Vent. Parking podobnie jak przy kolejce kosztuje jedynie 5€ za dobę, co nie jest wysoką ceną jak za spokojną okolicę z dostępną łazienką z ciepłą wodą. Łazienka znajduje się w budynku informacji turstycznej, lecz jest dostępna całą dobę (wejście do niej jest osobne, trzeba tylko zejść po schodkach). Wokół mnie zaparkowały kampery, w których również spali ludzie. Na parkingu jest znak

Kein Kemping, ale zakładam, że spanie w aucie bez rozkładania namiotów jest tam czymś tolerowanym.

Tak, jak pierwszego dnia wysokość dała mi o sobie znać obniżając moją sprawność, to drugiego, na Ramolkogel, czułem się już świetnie. Założyłem (trafnie), że trzeciego dnia będę już fruwał, więc Brochkogel chciałem zrobić w trybie „ninja” (podczas pisania podszedł syn i koniecznie chciał napisać to słowo na klawiaturze i żebym je użył w relacji, więc tak powstała nowa nazwa dla stylu).

Bez wahania decyduję się na oszustwo i użycie wyciągu krzesełkowego, który mnie wywiezie na wysokość 2354 m (Steblein). Urywam w ten sposób nieco ponad 400mH. Dwukrotnie wchodziłem na Wildspitze pokounjąc trasę w całości na nogach, więc nie widzę wartości dodanej w robieniu tej trasy po raz kolejny. Poza tym podjąłem już decyzję, że dziś zacznę wracać w kierunku domu, więc pasuje mi zachować nieco więcej sił i czasu na jazdę autem.

Ninja-Style:

```
08:00 – start krzesełka z Vent
08:20 – wyruszam ze Steblein (2354)
09:00 – schronisko Breslauer Huette (2844) i 5 minut odpoczynku
10:42 – wierzchołek z dużym krzyżem
10:47 – główny wierzchołek Vorderer Brochkogel (3565)
12:18 – ponownie przy schronisku (2844)
13:10 – zeskakuję z krzesełka w Vent
```

Do samego podejścia na przedwierzchołek trasa jest łatwa i dobrze oznaczona. Pod koniec przez chwilę stromo w osypującym się terenie. Jedyne zagrożenie, jakie tu występuje to to, że może nam wpaść kamyk do buta (nie uwzględniam przypadkowego skręcenia nogi, podobnie jak można się przewrócić wychodząc z zakupami z Biedronki). Na przedwierzchołku duży, stalowy krzyż. I teraz najlepsze:

przejście po ostrym fragmencie grani na wierzchołek główny. W pierwszej chwili wyglada strasznie, szczególnie pochyłe płyty po prawej. Ale po podejściu bliżej okazuje się, że jest to kwestia ostrożnego przejścia po lewej stronie, bez wielkich akrobacji. Idąc z powrotem pasowało mi jednak przejść nad szczerbą w grani robiąc duży krok. Przypomniałem sobie wtedy, że w jakiejś relacji też było to tak opisane: „jedyna trudność to ten jeden duży krok”.

Orientacyjnie łatwy teren (oczywiście nie we mgle), bezpieczny. Dobry szczyt na początek przygody z Alpami. Całość z maleńkim plecaczkiem, w plecaczku kurtka, batonik i isotonic. To naprawdę wszystko.

Ach jeszcze tam rajtuzy miałem bo rano jak wstałem było chłodno. Zdjąłem w Steblein i resztę przebiegłem w koszulce z krótkim rękawem i czapce z daszkiem.

W czwartek mógłbym wejść na Talleitspitze… Ale rano ma padać, a mokrej skały to ja nie lubię. Poza tym Talleita to ja się tylko troszkę mniej boję od Ramola. I wiem co mówię, bo kiedyś zawróciłem z Asią spod samego szczytu. Więc jeśli nastąpi powtórka to jedynie w następnym odcinku. Plan wykonany – 6 szczytów w 3 dni i mogę spokojnie wracać do domu.

c.d.n.

tekst: Dziku
zdjęcia: Dziku
16.07.2022

Trawers Wildspitze

Poniższą relację piszę i zamieszczam w czerwcu 2022 roku, natomiast samo wydarzenie miało miejsce w lipcu 2020 roku. Udział wzięli: Aga, Asia, Michał i Dziku.

Czarna kropka w środku kadru to najprawdopodobniej ryś. Natomiast za nim na horyzoncie ramię, którym następnego dnia dostaniemy się na pierwszy ze szczytów – Vordere Hintereisspitze

Wspaniały kadr widoczny o poranku ze szczytu Vordere Hintereisspitze (3437). W tle wybija się ponad wszystko inne Weißkugel (3738)

Na ramieniu prowadzącym na Vordere Hintereisspitze

Widok ze szczytu Vordere Hintereisspitze w kierunku schronu (widoczny po drugiej stronie lodowca na skale z prawej strony)

Drużyna na szczycie

Idziemy z Asią na Hintere Hintereisspitze. W tle Tomek, który samotnie wróci do schronu widocznego po lewej

Vordere Hintereisspitze w całej okazałości. 2 czarne kropki na lodowcu to tym razem nie rysie, lecz Asia i Dziku wracający po zdobyciu obydwóch wierzchołków. Autorem

zdjęcia jest Tomek

Podejście do schronu dnia pierwszego. Schron widoczny na skale w środku kadru.

Start

Poniższa mapa znaleziona na outdooractive.com przedstawia przebieg naszej trasy. Start miał miejsce z Rofen na wysokości 2000 m n.p.m. Jest tam bezpłatny parking na kilka aut.

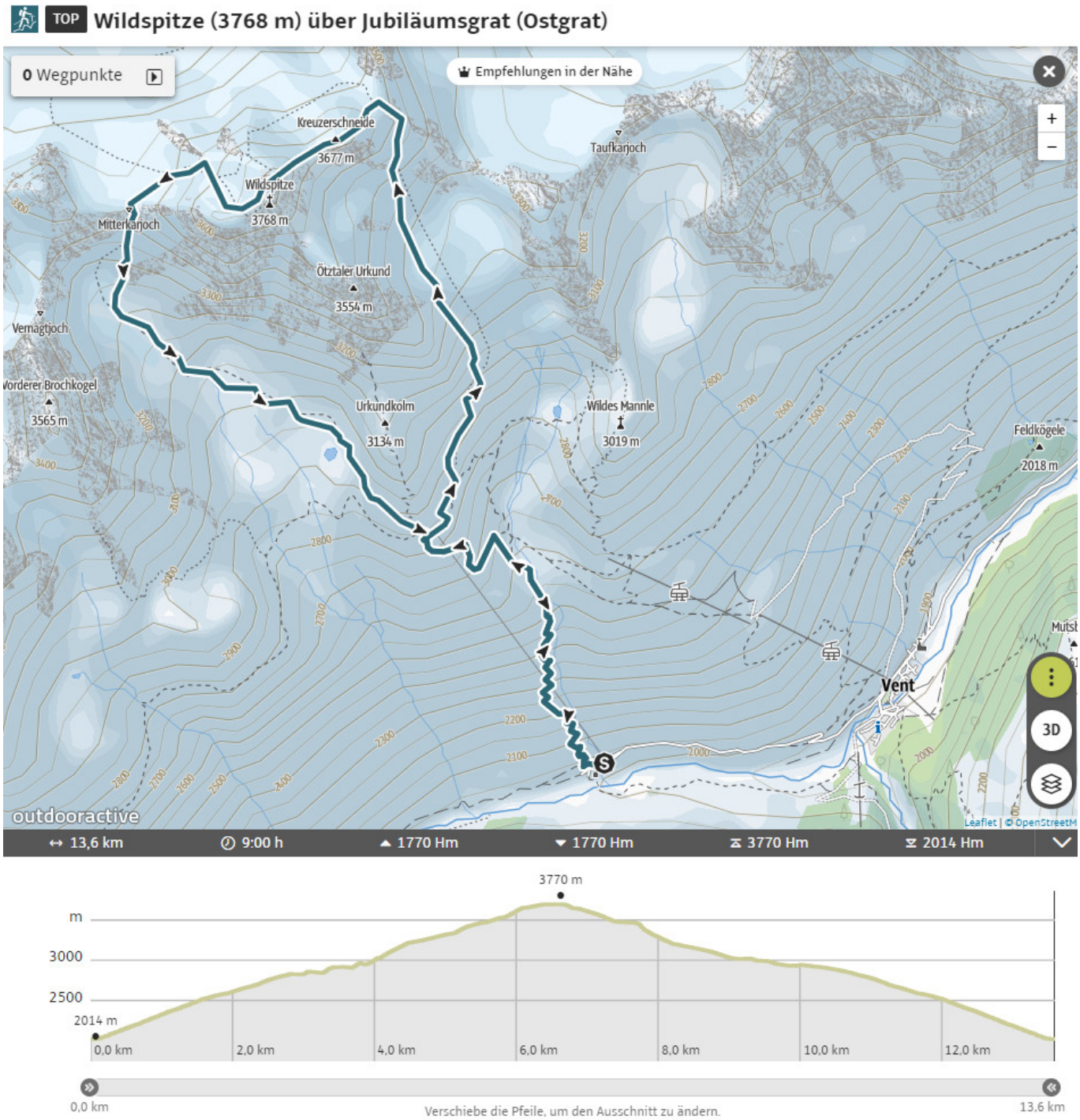

Następnie celem naszym był Breslauer Huette (2844). Dojście do tego schroniska z Rofen zajmuje sprawnym tempem 2,5h. Przy schronisku skręcamy w prawo i wkrótce zaczyna się prawdziwie wysokogórska zabawa.

Na poniższym zdjęciu szczyt widoczny w tle to Talleitspitze (3407), pod którego wierzchołkiem znaleźliśmy się dzień później. Niestety z powodu kruchej skały zawróciliśmy będąc niewiele poniżej szczytu.

Fotorelacja

Lodowiec powyżej schroniska to jeden z tych przyjaznych, dostępnych dla każdego, kto chce rozpocząć przygodę z Alpami. Zresztą dla potwierdzenia tych słów nadmienię, że w naszym składzie jest Michał, który w tym miejscu po raz pierwszy w życiu zakłada raki. Szczelina widoczna na zdjęciu nie jest groźna, wystarczy krok by ją ominąć.

Zdjęcie poniżej przedstawia praktycznie przebieg całej trasy od tego miejsca do wierzchołka Wildspitze, który znajduje się po lewej stronie kadru. Ciekawostką niech będzie, że dwójka ludzi, którzy szli tego dnia przed nami (w zielonej otoczce) postanowiła przebić się przez nawis znajdujący się nad nimi, żeby dostać się na grań. Udało im się to, ale jak trudne to było wyzwanie przekonaliśmy się dopiero, kiedy znaleźliśmy się w pobliżu. Reszta ekipy wtedy (bardzo słusznie zresztą) zasugerowała, byśmy strawersowali stromy stok i od prawej strony po skałach weszli na grań. Tak też prowadzi normalna droga, o czym można było się dosadnie przekonać widząc schodzących tamtędy ludzi. Tę bezpieczną i łatwą trasę zaznaczyłem niebieskim kolorem. Linia kończy się na Rofenkarjoch (3315).

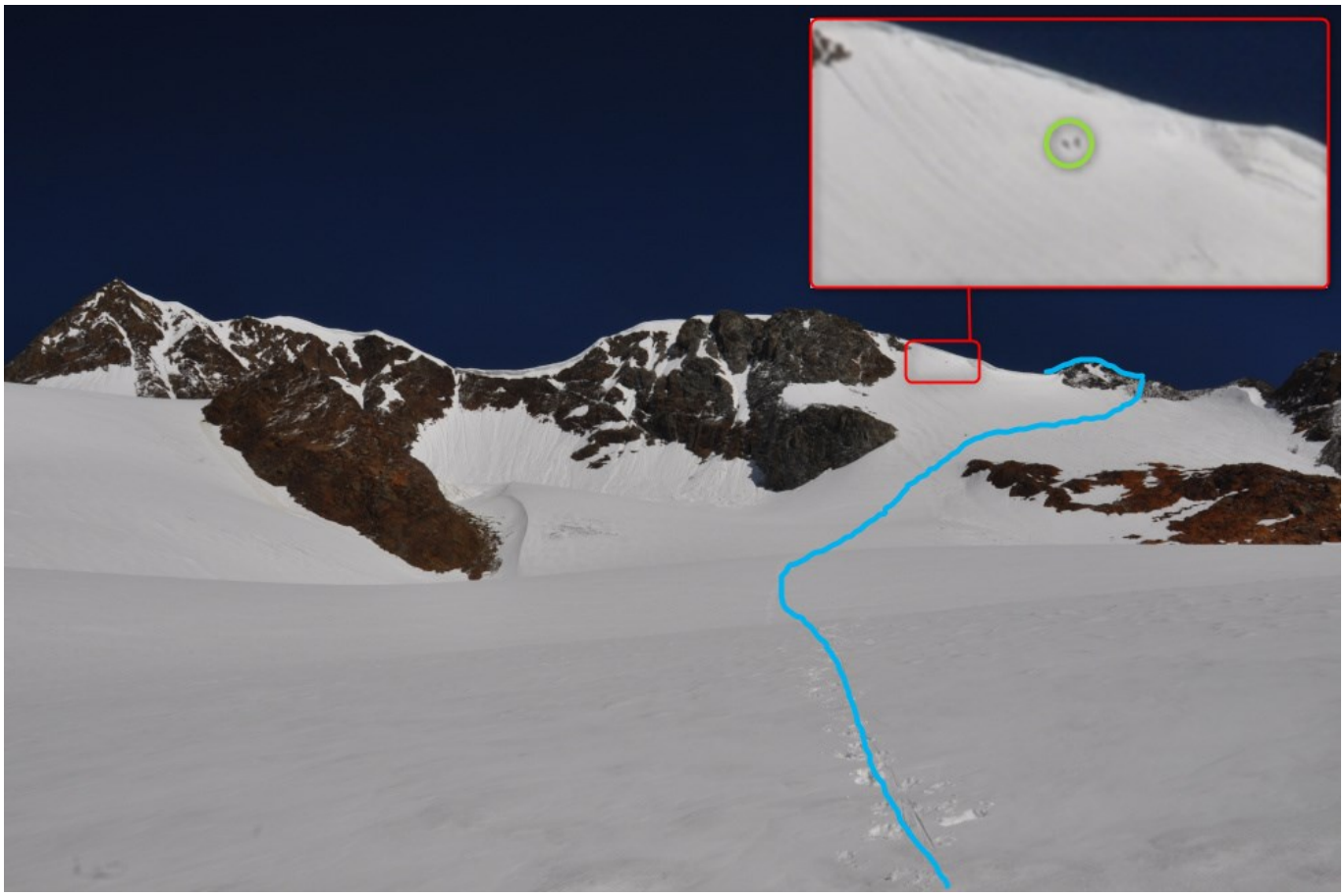

Na kolejnym zdjęciu widoki z podejścia na przełęcz:

Na przełęczy dziewczyny odwiązują linę i pomykają granią do góry. Ja i Michał, który jest w trakcie zdobywania swojego pierwszego alpejskiego szczytu, wciąż idziemy związani. Powyżej 3300 m n.p.m. odczuwa się już wpływ wysokości i coraz trudniej złapać oddech.

Trasa po wschodniej grani Wildspitze obfituje absolutnie we wszystko, co najpiękniejsze w „Alpinizmie Romantycznym”. Są piękne widoki, jest ekspozycja, jest jednocześnie niebezpiecznie, ale też człowiek czuje, że wszystko w jego rękach, czy też nogach. Mnie niepokoi mocno fakt, że Michał jest w takich warunkach po raz pierwszy. Idę z tyłu cały czas kalkulując, co zrobić jeśli mój partner zacznie spadać po stromym stoku. Wyobrażam sobie sytuację, w której w ułamku sekundy skaczę na drugą stronę grani. Nie widzę innej opcji, zakładając, że nie zamierzamy się asekurować na sztywno. Idę zatem z kilkoma zwojami liny w ręku i skupiam się na tym, że jeśli znacznie cięższy ode mnie partner poleci to muszę się natychmiast znaleźć po lewej stronie ostrza grani.

W którymś momencie wspólnie decydujemy się rozwiązać, podobnie jak dziewczyny, które są już daleko z przodu. Michał stawia kroki bardzo pewnie, widać, że jest to talent i kandydat do wspólnych wyzwań w przyszłości. Idziemy zatem na luzaku, nie obciążając się wzajemnie odpowiedzialnością za swoje błędy. Jeśli ktoś spadnie, to spadnie sam, ale oczywiście ryzyko jest niewielkie, inaczej zaczęlibyśmy rozpatrywać inne scenariusze. Grań, którą przechodziliśmy widoczna jest na zdjęciu poniżej zrobionym przez Michała.

A to już ostatni odcinek przed szczytem (między dwoma wierzchołkami). Od tego momentu znajduję się już na trasie, którą pokonywałem 3 lata wcześniej, kiedy to wchodziłem z Dawidem na szczyt drogą normalną. Dziś będzie ona naszą drogą zejścia.

Wspólne zdjęcie pod krzyżem na wierzchołku (tak, to ten sam krzyż co na teledysku „Ohne dich” Rammsteina):

Poniżej na zdjęciu rzut okiem na lodowiec, który stanowi drogę normalną na Wildspitze. Paradoksalnie wg mnie to na lodowcu jest więcej niewiadomych i ryzyka, niż podczas podchodzenia granią, gdzie pewny krok minimalizuje niebezpieczeństwo upadku. Tym samym drogę przez Jubiläumsgrat polecam każdemu, kto pragnie zdobyć drugi najwyższy szczyt Austrii.

Zanim zejdziemy na lodowiec musimy pokonać odcinek skalny. Jest to łatwa wspinaczka, nawet dla początkujących. Nie ma tam żadnych trudności technicznych ani niebezpieczeństw obiektywnych, jak spadające skały. Po prostu przyjemne zejście oferujące po raz pierwszy dzisiejszego dnia namiastkę wspinaczki skalnej.

Bezpiecznie docieramy do Mitterkarjoch (3470). Tu zostawiam ekipę i idę samotnie na pobliski szczyt – Hinterer Brochkogel – o wysokości 3624 m n.p.m. Tę historię opisałem tutaj. Po zejściu z tego szczytu okazuje się, że jestem zupełnie sam w lodowcowym świecie i wywarło to na mnie niezwykłe wrażenie. Poniższy filmik nie odda tego uczucia, ale tylko tak mogę chociaż w minimalnym stopniu pokazać miejsce, w którym się znalazłem nie mając dookoła siebie żywej duszy.

A dalej… po prostu zszedłem z przełęczy – najpierw po stromej skale z odcinkami stalowej liny, a potem szybko obsuwając się w mokrym śniegu zalegającym na zboczu góry. Dogoniłem ekipę i wspólnie zeszliśmy do Rofen, po drodze mijając schronisko Breslauer-Huette. Skoro koło 14-tej byliśmy na przełęczy, to wnioskuję, że przy aucie znaleźliśmy się najpóźniej koło 17-tej.
Startowaliśmy, kiedy było jasno, więc jak na niewiele ponad 10 godzin akcji, to nie ma się czego przyczepić – to był

absolutnie wspaniały dzień pełen wrażeń.

(KSP 32/32) Przedgórze Paczkowskie – Gołąbki

Miejsce startu: Radynia
Dojazd: Mapa
Wysokość: 485 m n.p.m.
Dystans: 2,79 km
Przewyższenie: 71 m
Czas (parking-szczyt-parking): 00:33
Kto: Dziku
Kiedy: 09.01.2022 12:12

Na parkingu pod Gołąbkami zastałem kilkadziesiąt aut. Pod wiatą krzątał się niezły tłumek ludzi w pomarańczowych czapkach. Wycofałem i zaparkowałem 100 metrów dalej, po czym udając pewniaka poszedłem drogą mijając rozkręcającą się imprezę zaledwie o kilkadziesiąt metrów. Na drodze mijałem jedną po drugiej grupy myśliwych. Nieśli wielkie spluwy, strzelby, karabiny – jak zwał tak zwał. Jeden maruder z obiema łapami czerwonymi, ale raczej nie od mrozu. Koło niego czerwony pies z niegdyś białą sierścią. W oddali strzały. Każdemu kogo mijam mówię „Dzień dobry”. Głowa podniesiona, szybki krok. Co niektórzy odpowiadając wyciągają ręce z kieszeni. Przerabiałem to już kiedyś w Czechach. W rzeczywistości nie mam pojęcia o ich zwyczajach, ale tym bardziej nie ufam. Zanim wejdę w krzaki w kierunku szczytu, kręcę się chwilę po okolicy. Ślad na GPS pokaże, że wydeptałem serce.

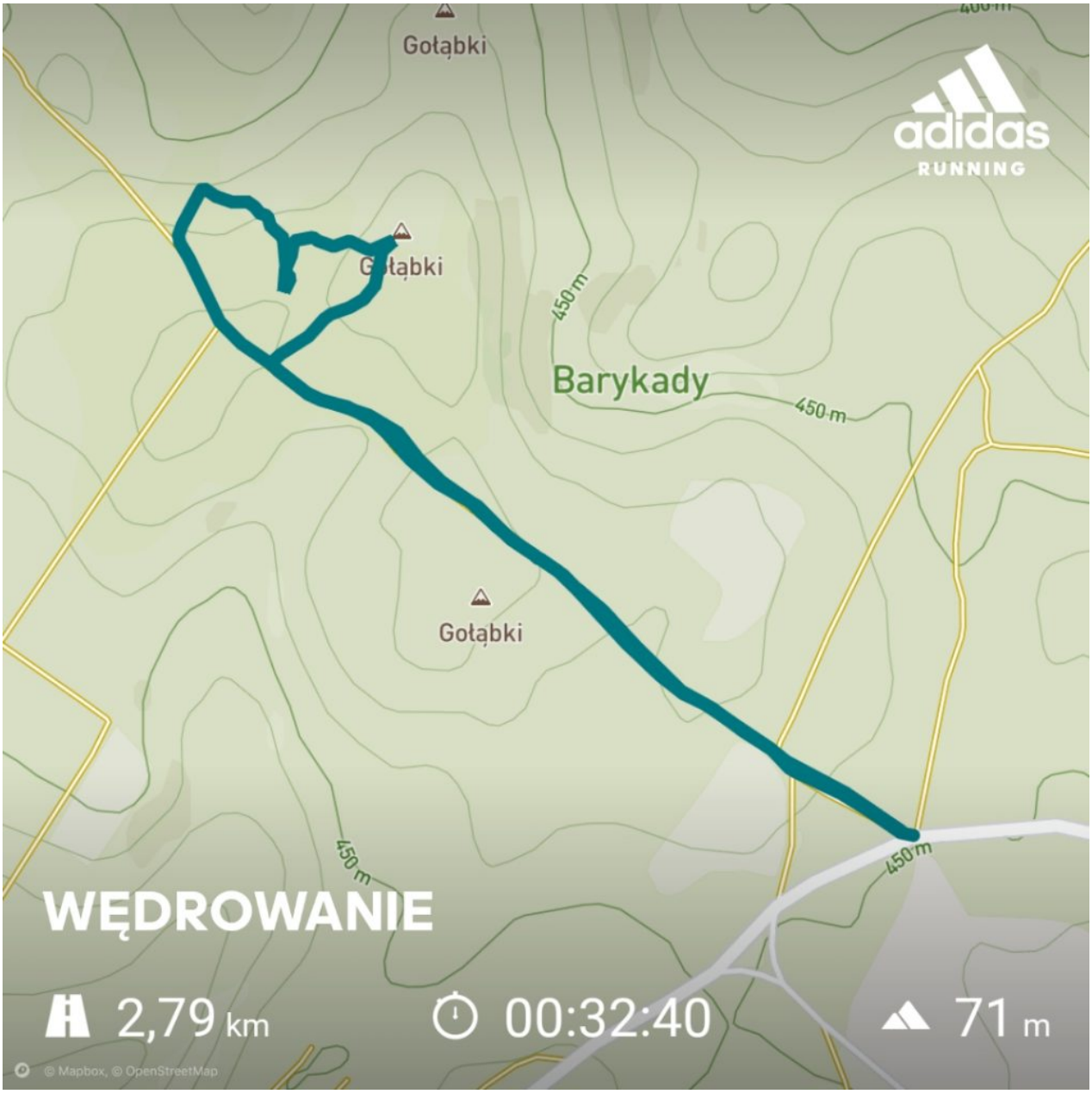

Gołąbki

(KSP 31/32) Góry Opawskie – Biskupia Kopa

Miejsce startu: Jarnołtówek
Dojazd: Mapa
Wysokość: 889,8 m n.p.m.

Dystans: 8,26 km
Przewyższenie: 453 m
Czas (parking-szczyt-parking): 01:20
Kto: Dziku
Kiedy: 09.01.2022 10:03

Szlak na pewnym odcinku całkowicie zalodzony, ale można obejść lasem. Ja do Biskupiej mięty nie czuję. Odhaczone.

Biskupia Kopa

(KSP 30/32) Obniżenie Otmuchowskie – Grzbietnik

Miejsce startu: Kamienica
Dojazd: Mapa
Wysokość: 312 m n.p.m.
Dystans: 1,07 km
Przewyższenie: 9 m
Czas (parking-szczyt-parking): 00:07
Kto: Dziku
Kiedy: 08.01.2022 17:44

Jeden z najbardziej problematycznych punktów. Gdybym miał typować, to stwierdziłbym, że to w tym obszarze najszybciej nastąpi zamiana jednego wierzchołka na inny. Bo gdzie jest najwyższy „szczyt” Obniżenia Otmuchowskiego? Szukałem go na mapie i szukałem po ciemku w lesie w Złotym Stoku. Nietrudno znaleźć miejsca w tym regionie, które są wyżej położone, ale tylko Grzbietnik wydawał się punktem na tyle charakterystycznym, że zasłużył na 1-wsze miejsce na podium. Kiedyś odwiedzę to miejsce raz jeszcze, lecz za dnia. Będzie lepsza możliwość oceny sytuacji.

Grzbietnik

(KSP 29/32) Góry Złote – Postawna

Miejsce startu: Bielice
Dojazd: Mapa
Wysokość: 1115,5 m n.p.m.

Dystans: 13,27 km
Przewyższenie: 360 m
Czas (parking-szczyt-parking): 02:41
Kto: Dziku, Aga
Kiedy: 08.01.2022 13:21

Bez nawigacji i we mgle? Byłbym ostrożny! Końcówka praktycznie z nosem w telefonie. Warto z biegówkami i zrobić zjazd do parkingu. No my nie mieliśmy warunków, ale innym razem – tylko na nartach!

Postawna